CHŁOPSKI ŚWIAT

MIESIĘCZNIK

WARSZAWA KWIECIEŃ - MAJ 1946 Nr 2-3(8)



SZUMIĄ CHŁOPSKIE—
ZIELONE SZTANDARY

CENA 15 ZŁ

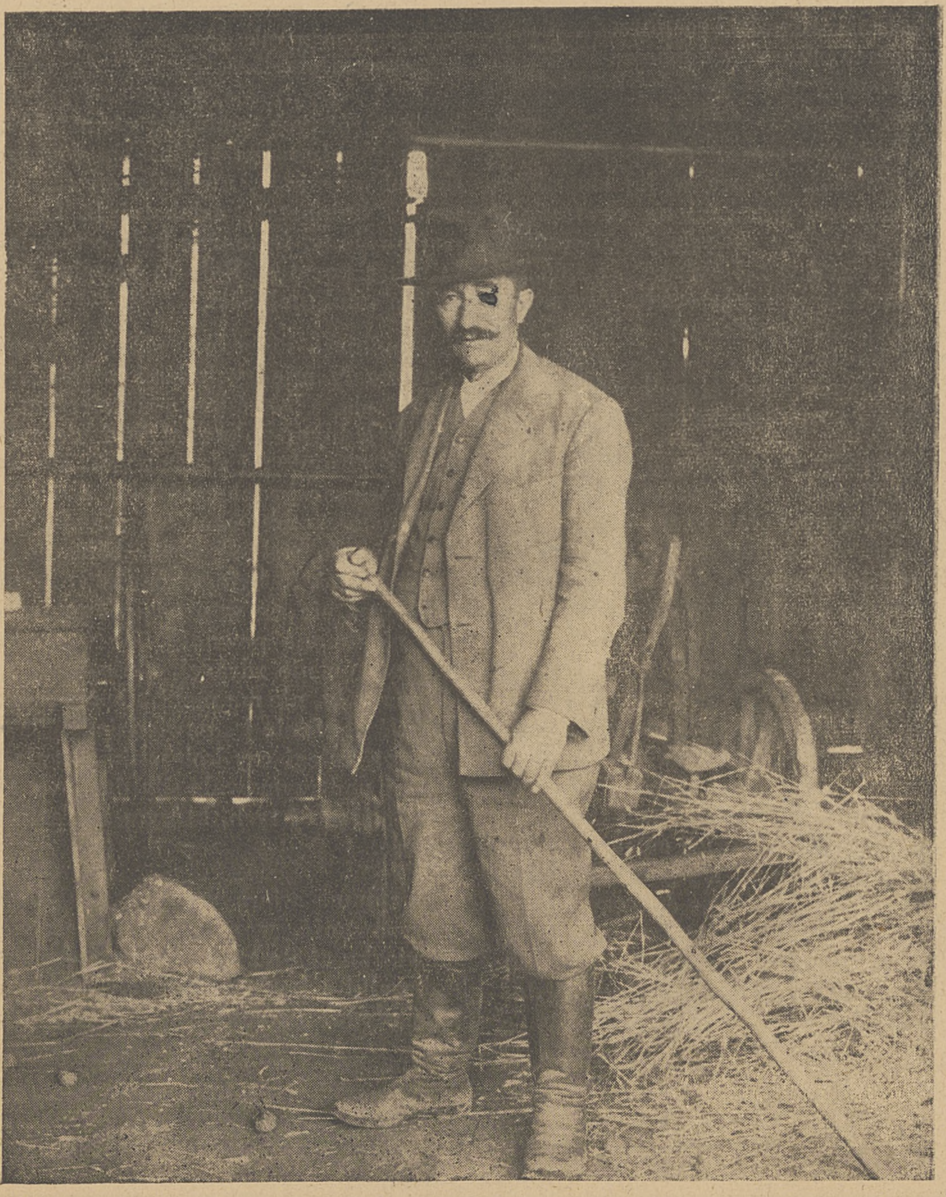
CHŁOPSKI ŚWIAT

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM ŚWIATOPOGLĄDU I SPOŁECZNEJ IDEOLOGII CHŁOPSKIEJ

ROK II KWIECIEŃ — MAJ Nr 2-3 (8)

TREŚĆ NUMERU:



Wincenty Witos w Wierzchosławicach.

KAZIMIERZ BANACH

Chłopska postawa w walce

Po rozbiciu we wrześniu 1939 r. naszej armii i zniszczeniu całego aparatu organizacyjnego państwa naród polski stanął wobec wroga germańskiego zupełnie rozbrojony i zdezorganizowany. A przecież zaczynała się wtedy długa, pięć lat trwająca, bezwzględna, twarda, nieustępliwa bitwa. Barbarzyńca niemiecki uderzał bez przerwy w naród najbrutalniejszymi ciosami. Najbardziej wymyślna nowoczesna broń, najbardziej wyrafinowane sposoby mordowania — samoloty, armaty, czołgi, pociągi pancerne, wszelka lekka i ciężka broń maszynowa, więzienia, obozy śmierci, szubienice, łapanki i pacyfikacje nie zdołały wśród tych tragicznych lat walki nie tylko załamać, ale nawet na chwilę zachwiać postawą pozbawionego całkiem narzędzi walki, walczącego o swą wolność narodu polskiego.

Cóż więc, przy zupełnym braku materialnych środków walki, stanowiło tę główną broń, którą w walce z przemocą naród polski rozporządzał? Jakie wartości moralne, jakie siły duchowe legły jako fundamenty postawy całej polskiej społeczności i poszczególnego człowieka-żołnierza?

Oczywiście na czoło wysuwa się powszechna świadomość celu walki, wiara w jej słuszność i ostateczne zwycięstwo. Nikt ani na chwilę nie pomyślał, że mogliśmy nie zwyciężyć, i każdy chciał mieć i miał udział w tej walce. To sprężało siły, uwielokrotniało je i hartowało, budując jednocześnie solidarność wysiłków i walki całego narodu. Walczył bowiem cały naród, otaczając swoje ściślejsze zorganizowane szeregi najpełniejszą pomocą, opieką i współdziałaniem.

Na tym tle wystąpiły w poszczególnych zespołach i ludziach najlepsze właściwości i wartości duchowe. Każdy walczący Polak miał w tym okresie wielką zdolność mobilizowania wszystkich swych duchowych i fizycznych sił, by każdej chwili w pracy i walce podołać zadaniom, a w razie potrzeby znieść i wytrzymać największy ból, ponieść śmierć, i to tak, żeby sprawie nie tylko nie zaszkodzić, ale bólem i umieraniem przysłużyć się jej jak najlepiej, jak najlepiej ją reprezentować. Praktyczna służba w walce kończyła się dopiero po śmierci. Wszyscy pamiętamy przecież dobrze, jak po aresztowaniach otrzymywaliśmy grypsy, w których o tym, że biją, że nie ma co jeść, że się jest gotowym na śmierć pisało się jakoś zdawkowo, informacyjnie, a gorętsze słowa dotyczyły zawsze zapewnień, że się wszystko wytrzyma, zachęty do dalszej walki, że przed nami zwycięstwo, lub ostrzeżeń, że wróg o czymś wie, że się czegoś domyśla, że wpadł na ślad naszych poczynań.

Każdy z żołnierzy Polski Podziemnej, niezależnie od tego, jaką pełnił funkcję, czuł się odpowiedzialnym za całość. Lotem błyskawicy jedna ulica zawiadomiła drugą, wieś — sąsiednią wieś o grożącym ze strony wroga niebezpieczeństwie, o tym, że trzeba być gotowym do walki i samoobrony. Spełnianie obowiązków, praca i walka były jakąś wewnętrzną koniecznością, wewnętrznym musem. Ten mus wewnętrzny był dowódcą i kontrolerem we wszystkich poczynaniach, i każde uchybienie, przeoczenie lub zaniedbanie najostrzej i najboleśniej karcił. Na gruncie tej wewnętrznej karności ugruntowywała się karność organizacyjna.

W oparciu o karnych wewnętrznie i organizacyjnie żołnierzy B. Ch. można było podjąć takie np. trudne i wymagające wielkiej sprawności poczynanie, jak organizowanie niezależnej od publicznych środków komunikacji, własnej sieci kolporterskiej, docierającej do wszystkich wsi. Pieszo, konno, rowerem w określonych terminach szła paczka z rąk do rąk, by po przebyciu często kilkuset kilometrów dotrzeć do właściwego adresata. Deszcz, mróz, zawieje, zasadzki wroga, szereg przeróżnych trudności nie mogło być przeszkodą w terminowym spełnieniu rozkazu. Zdarzały się zahamowania, niedociągnięcia, ale z biegiem czasu kolportaż szlakami B. Ch. był już tak usprawniony, że można było o te szlaki oprzeć całą naszą pocztę. Była to również pierwszorzędna szkoła punktualności.

Wspólność niebezpieczeństw i wspólnota celów wytwarzały między ludźmi koleżeństwo, przyjaźń i zaufanie. Dowódca z żołnierzem, przełożony z podwładnym połączeni byli nie tylko regulaminami i stosunkami służbowymi, ale wzajemną troską o własne bezpieczeństwo, o warunki życiowe; wspólnym wypracowaniem planów pracy i walki. Zaufanie do siebie dochodziło do najwyższych granic. Ileż to było wypadków, że po aresztowaniu kogoś nic się w pracy nie zmieniło, bo mieliśmy niezłomną pewność, że wszystko się może stać, ale on nie zdradzi, z niego nic nie wymęczą. Nie ma bólu, nie ma męki, nie ma sposobu, by mógł zawieść zaufanie i „powiedzieć". Ta wiara w siłę moralną kolegi czy koleżanki dawała podnietę do pracy i podtrzymywała siły duchowe tak tych, którzy ufali, jak i tych, którym zaufanie to było okazywane.

Wzajemna wiara w najwyższą ofiarność i bezinteresowność, w rzetelne i uczciwe spełnianie obowiązku aż do końca, były w okresie naszej ciężkiej walki z barbarzyństwem germańskim najbardziej płodne i budujące.

Tam, gdzie w tę atmosferę zaufania wpadał zgrzyt podejrzenia lub niewiary, zaczynało się od-

razu osłabianie tempa pracy lub nawet jej rozkład.

Na odcinku Ruchu Ludowego praca i walka konspiracyjna wniosły jeszcze jeden bardzo ważny walor. To nasze wiejskie, chłopskie rozgadanie, rozmyślania i dumania, omawianie planów i gotowość ich realizowania zostały w okresie okupacji ujęte w sprężystą organizację o charakterze wojskowym. B. Ch. to dobra szkoła organizacyjnego działania, przedtem w Ruchu Ludowym nigdy nie znana. Szybkie odbudowanie się obecnej olbrzymiej organizacji politycznej chłopów, tzn. PSL. było w dużej mierze możliwe dzięki umiejętności sprężystego działania organizacyjnego, nabytego w szeregach B. Ch.

To pobieżne przypomnienie sobie walorów moralnych, na których opierała się nasza zwycięska, twarda walka z barbarzyństwem germańskim, nie jest tylko wspominaniem. Do tych wartości sięgać będą przyszłe pokolenia, a i my musimy do nich jak najspieszniej powrócić, bo zostały one trochę w ciężkiej naszej powojennej rzeczywistości zapomniane. Stoją przed nami tak olbrzymie zadania — dla ich realizowania potrzebny jest przeolbrzymi wysiłek mięśni, rozumu i serc, by z powojennych ruin i zgliszcz, z tragicznie poplątanych konfliktów politycznych, społecznych i moralnych wyłaniać się poczęła szczęśliwsza Polska Ludowa.

Odbudowa i przebudowa człowieka, który przez cały okres okupacji, mimo najlepszych walorów ducha nastawiony był jednak tylko na walkę ze zbrodniczym wrogiem, staje się pilną koniecznością. Te wszystkie wartości duchowe, jakie pozwoliły nam zwycięsko walczyć z wrogiem, muszą być przemontowane w duszy ludzkiej tak, by pozwoliły nam zwyciężać trudności i pomnażać siły w codziennej naszej pracy. A pracy tej przed nami ogrom. Zagospodarowanie ziem zachodnich, odbudowa kraju, odbudowa zaufania i pojednanie między głównymi demokratycznymi siłami Polski, dokonywanie zwrotu w historycznie wytworzonej postawie naszego narodu w stosunku do bratnich narodów Zw. Radzieckiego, przebudowa naszego ustroju, oto tylko główne zadania, jakie są przed nami. Dokonać ich może tylko człowiek, bo wszystko, co się dokonywuje w ludzkim życiu, rozpoczyna się w ludzkiej duszy. Dziś podobno aż nie wypada mówić o ludzkiej duszy, o uczuciach, a więc o największych motorach wszelkiego działania i wszelkich ludzkich przemian. Dziś, powiadają nieraz, wszystko jest realne, namacalne, obiektywne, brutalne i cyniczne. Nieprawda. W pokaleczonym i rozdartym naszym życiu dzisiejszym, stojącym przed nami zadaniom podoła tylko odrodzony człowiek, umiejący rozumieć i kochać, wierzący w sprawę, w Polskę, w jej wielką i wieczną przyszłość, umiejący mobilizować wszystkie swe siły, obejmujący swą troską i odpowiedzialnością całość spraw narodu niezależnie od tego, jakie stanowisko zajmuje, mający w sobie mus pracy i służby narodowi, umiejący karnie i organizacyjnie działać.

MICHAŁ JAGŁA

Przysięga

Ślubowali Polsce chłopi
strzec Jej Ziemi i Wolności,
i kajdany hańby stopić,
Kraj przywrócić do Godności

Na przysiędze z krwi jest pieczęć:
Krew z Racławic — Radzymina
i krew z sierpnia. Za dziesięciu
milion stanie do ostatka tchnienia!

Polska musi stać chłopami!
— przysięgliśmy na krew braci,
Judasz jeno śluby łamie —
chłop... swe życie pierwej straci!!

Z nami idzie Duch Bartosza
i Kościuszki, i Drzymały,
i Wielkiego Wodza — Chłopa —
idzie Chłopski Naród cały.

W naszych dłoniach są pioruny,
z pięści się uczynił granit,
przysięgliśmy i — runiemy!
Przeciw sercu gwałty — na nic!

(1938 r.)

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

Cieślami wszyscy są...

Nie zradzi nikt, kto sam i jeden —
i śmieszny taki — kiep!
Pospólną biedę,
pospólny zwali łeb...
Naćpanym zadem kto się wznosi,
zasługą dawną innych łży, —
nadęty osioł —
pospólny łamie szyk!...
Schyl głowę!... Wejdź w gromadę!....
Tu nie ma pierwszych praw!
Pospólnym ładem —
gromadą kruszyć ślepy traf!
Gdy Polskę stawiać od przyciesi,
pospólny Dom —
to wszystkich zwołać, wszystkich cieśli!
Cieślami wszyscy są....
— Topory!....
Migną wraz!
Pospólnym wtórem —
pospólny ciosać czas!...
Gdy Polskę pięknić do kalenic —
Ktoś sobie złoci tron!
To — cymbał! — To — szaleniec! —
pospólny łamie front..
— Topory!...
Ludowe idą echa ech!
Pospólną porą
pospólny kształci dech.

STANISŁAW OSIECKI

Marszałek Maciej Rataj

W dniu 25 kwietnia, o godz. 13-ej zostały w lesie w Palmirach odnalezione zwłoki Marszałka Rataja — zamordowanego przez niemieckich oprawców w dniu 21 czerwca 1940 r.

Uroczystości związane z uczczeniem Jego pamięci odbędą się w Palmirach w najbliższym czasie.

Artykuł poniższy napisany został przez jednego z najbliższych przyjaciół i współpracowników Marszałka.

Początek lutego 1919 r. Wybrani posłowie do Sejmu Ustawodawczego z PSL „Wyzwolenie" zebrali się w lokalu stronnictwa przy ulicy Hortensji 7. Z ciekawością przyglądałem się ich twarzom. Wielu zobaczyłem pierwszy raz, pomimo że pracowałem w ruchu ludowym dawnej Kongresówki od lat kilkunastu. Przyczyną tego było układanie list kandydatów na posłów przez koła okręgowe stronnictwa, często osobiście Zarządowi Głównemu nieznanych.

Wśród gromady poselskiej zwracała uwagę na siebie szczupła postać trzydziestokilkoletniego mężczyzny z bujną czupryną, o bladej, charakterystycznej twarzy i dużych żywych oczach, z których przebijała wrodzona inteligencja. Był to przyszły wybitny działacz i przywódca ruchu ludowego marszałek sejmu Maciej Rataj.

Będąc profesorem gimnazjalnym w Zamościu, gdzie objął to stanowisko podczas okupacji austriackiej, przez krótki stosunkowo czas swego pobytu dał się poznać jako gorliwy ludowiec i uzdolniony redaktor „*Gazety Zamojskie*". Stąd podstawa do mandatu poselskiego. Jako syn chłopski doskonale wczuwał się w psychikę i potrzeby środowiska chłopskiego, umiał trafiać do duszy i serca chłopa polskiego i godnie i uczciwie reprezentować go w sejmie.

Inteligentny, rzeczowy, pozbawiony demagogii, dobrze orientujący się w pracach parlamentarnych i zadaniach sejmu, doskonały mówca, wyróżniał się znacznie wśród szarej braci poselskiej.

Jako profesor i pedagog, wnosił w stopniu wybitnym swoją wiedzę i doświadczenie w prace Komisji Oświatowej. W Komisji Konstytucyjnej był zastępcą przewodniczącego i przyjmował znaczny udział w opracowaniu konstytucji marcowej Pracował też chętnie w Komisji Spraw Zagranicznych ujawniając duże zainteresowanie stosunkami z zagranicą.

Bardzo cenionym i lubianym kolegą był w klubie poselskim najpierw „Wyzwolenie", a potem „Piasta". Jako zastępca prezesa Witosa, często kierował pracami klubu, ułatwiał pracę mniej wprawnym kolegom, redagował wnioski i przemawiał w imieniu klubu. Umiał utrzymać dobre stosunki z innymi klubami poselskimi, dzięki czemu przyczyniał się do łagodzenia tarć międzypartyjnych i ułatwiania współpracy międzyklubowej w sejmie.

W ciężkim 1920 roku zostaje powołany na stanowisko Ministra Wyznań Religijnych w gabinecie Witosa. I na tym stanowisku daje się Rataj poznać jako wybitna siła fachowa i organizacyjna, zyskując pełne uznanie swoich najbliższych współpracowników i świata nauczycielskiego.

Przychodzi rok 1922. Sejm Ustawodawczy rozwiązuje się. Rataj, jako poseł swego rodzinnego okręgu samborskiego, wchodzi do sejmu zwyczajnego, który wybiera go swoim Marszałkiem. Nie był to wybór przypadkowy. Osobiste zalety, duża znajomość życia politycznego w kraju i doświadczenie parlamentarne, nabyte w Sejmie Ustawodawczym, zalecały go na to wysokie i ważne stanowisko.

Okres urzędowania Rataja jako marszałka był ciężkim dla Polski i szczególnie trudnym dla niego.

Ustąpienie Piłsudskiego ze stanowiska Naczelnika Państwa, wybór Prezydentem Narutowicza, burzliwe przekazywanie władzy przez Piłsudskiego nowemu Prezydentowi, zabójstwo Narutowicza, pełnienie chwilowo obowiązków Prezydenta, wybór Prezydentem Wojciechowskiego — wszystko to były momenty, które wymagały od Marszałka Sejmu wielkiego taktu, spokoju, umiejętności opanowania krytycznych sytuacji i kierowania się dobrze zrozumianym interesem państwa. Była to próba ogniowa dla co tylko wybranego Marszałka.

Rataj przeszedł próbę tę zwycięsko.

Wezbrane polityczne namiętności powoli zaczęły się uspakajać. Sejm wchodził stopniowo w okres normalnej pracy. Normalną stawała się praca dla posłów, ale nie dla Marszałka Sejmu.

Nowowybrany Sejm przyszedł na świat z ciężką chorobą. Chorobą tą było wielkie rozdrobnienie partyjne i brak wyraźnej, zdecydowanej większości. Zabieganie o sklecenie większości dla często zmieniających się rządów, dla każdej poważniejszej ustawy — było to ciężkim i niewdzięcznym zadaniem Marszałka Sejmu.

Byłem świadkiem tych niezliczonych konferencji, przeprowadzanych przez Rataja, tego wielkiego trudu i zabiegów jakie podejmował, aby zaoszczędzić pastwu niepotrzebnych wstrząsów. W pracach tych Rataj wykazał dużo umiejętności, wiele silnej woli i wytrzymałości.

A nade wszystko dążył do utrzymania autorytetu i powagi Sejmu, którego popularność na skutek często zupełnie zbędnych walk partyjnych, lekkomyślnie wywoływanych przesileń rządowych, zaczęła w społeczeństwie upadać.

Rataj widział wzrastający krytycyzm w stosunku do Sejmu i demokracji — piłsudczyzny, która już przygotowywała się do zamachu majowego.

Niestety, trud jego pozostał bezowocnym. Ciężka choroba Sejmu w ówczesnych stosunkach była nieuleczalną.

Ileż on pracy i nerwów włożył np. w zażegnanie przesilenia w 1925 r., kiedy ustąpił rząd Grabskiego, pozostawiając zdewoluowany złoty i budżet nie zrównoważony.

Napewno niełatwo znalazłby się inny polityk, który w tych trudnych chwilach mógłby zastąpić Marszałka Rataja.

W powietrzu czuć już było burzę. Gromadziła się w Sulejówku. Rataj przeczuwał ją doskonale. Odwrócenie jej jednak, pomimo usilnych zabiegów. było już poza jego możliwościami.

Piłsudski miał swoich sojuszników w samym Sejmie. na którego niezależność przygotowywał zamach. Byli nimi poszczególni posłowie i całe kluby, mieniące się obrońcami demokracji.

Jak głęboko odczuł Rataj zamach majowy, ile wysiłków kosztowało go opanowanie wstrętu do zamachowców i przybranie maski spokoju w tych tragicznych chwilach, łatwo można sobie wyobrazić.

Przetrwał to wszystko. Sprawował po raz wtóry prawie przez trzy tygodnie obowiązki głowy państwa. Doprowadził do wyboru, po części już pod dyktando dyktatora, nowego prezydenta-marionetki — Mościckiego.

Potem przyszła niesłychanie ciężka i przykra dla Rataja konieczność współpracy z Piłsudskim, przed którym usiłował bronić resztek niezależności Sejmu. Niejednokrotnie omawiałem z nim paradoksalność sytuacji, w której przedstawiciel chłopskiej demokracji i demokratycznego Sejmu zmuszony był współpracować z gwałcicielem tej demokracji.

Nie mniej cenną była praca Rataja w stronnictwie. Stale interesował się rozwojem organizacji, wolne od prac sejmowych chwile poświęcał sprawom stronnictwa, utrzymywał żywy kontakt ze wsią. Przyczynił się w dużym stopniu do połączenia stronnictw ludowych w jedną organizację w 1931 r.

Jego przemówienia na wiecach, zjazdach okręgowych, na kongresach stronnictwa, wygłaszane ze swadą oratorską, ujmujące w sposób jasny i zrozumiały zagadnienia państwowe i partyjne, były słuchane chętnie i z dużym zainteresowaniem. Podobnie, jak Witos, nawoływał w nich stale chłopów nie tylko do upominania się o swoje prawa w państwie, ale przede wszystkim do wypełniania obywatelskich obowiązków względem swego państwa, za losy którego odpowiedzialność spada na nich, jako najliczniejszą warstwę ludową, i gorąco przestrzegał przed rozbijaniem się na drobne grupy i osłabianiem w ten sposób siły i znaczenia chłopów w państwie. Przemówienia Rataja były nacechowane zawsze głębokim patriotyzmem i troską o przyszłość narodu.

Najwięcej uwagi poświecał Rataj prasie ludowej. Redagował „*Wolę Ludu*", a potem „Zielony Sztandar". Do każdego prawie numeru dawał swoje artykuły, wyławiał spośród ludowców współpracowników redakcyjnych, zachęcał ich do pisania, stwarzając w ten sposób kadry pisarzy ludowych.

Wielki talent organizacyjny i polityczny ujawniał Rataj po wyjściu na emigrację wybitnych działaczy stronnictwa z Witosem na czele.

Stronnictwo podówczas było osłabione; pomimo połączenia się w jedno wszystkich stronnictw ludowych. jeszcze nie okrzepło. nie stanowiło jednolitego, zwartego organizmu, a ludowcy byli celem ataków i prześladowań sanacji, która dopatrywała się w stronnictwie nie bez racji swego największego wroga.

W tym krytycznym momencie Rataj stanął na czele Stronnictwa. Trudno opisać, ile pracy, energii, poświęcenia i zamiłowania włożył on wtedy w odbudowę i rozbudowę Stronnictwa. Jeździł po zebraniach, wiecach. przemawiał. pisał. zachęcał młodzież chłopską do pracy ideowej, dwoił się i troił, oddając się całkowicie Stronnictwu i sprawie ludowej.

Toteż ta jego niezwykła praca i poświęcenie niebawem zaczęły wydawać owoce. Ludowcy, zachęceni słowem i przykładem Rataja, zaczęli coraz żwawiej organizować się. pomimo przeszkód ze strony sanacji — nabierać odwagi i pewności siebie. Stronnictwo ożywiło się, powstawały nowe koła. szeregi powiększały się. Z bierności przeszło do roli aktywnej. Represje sanacji zachęcały do walki. Zewnętrznym objawem tej walki były strajki chłopskie 1937 r.

Bez przesady mogę powiedzieć. że wzrost Stronnictwa. jego siły, jego powagi i znaczenia. jakie można było stwierdzić w momencie powrotu Witosa i towarzyszy z wygnania. były przede wszystkim dziełem Rataja.

W czasie mrocznych dni okupacji barbarzyńców teutońskich. w końcu 1939 r., Rataj staje do pracy politycznej w podziemiach. Jego patriotyzm. jego poczucie obowiązku obywatelskiego nie pozwalają mu w tragicznym położeniu ojczyzny trzymać się na uboczu, zdala od pracy publicznej.

Zmawia się w konspiracji z działaczami innych stronnictw. tworzy jednolity front narodu przeciwko okupantowi, porozumiewa się z przedstawicielami armii, ujawnia żywą działalność.

W tym momencie. w grudniu 1939 r.. zostaje pochwycony przez gestapo i osadzony w wię-

zieniu. Po 10 tygodniach wypuszczają go. Wygląda wtedy mizernie z zapuszczoną dużą szpakowatą brodą, lecz z goracym płomieniem w oczach i sercu. Po krótkim wypoczynku w Otwocku, pomimo ostrzeżeń przyjaciół, zabiera się ponownie do pracy podziemnej. Współpracuje z powołanym do życia Porozumiewawczym Komitetem Politycznym, układa plany na przyszłość, tworzy Kierownictwo Stronnictwa Ludowego w konspiracji, ustanawia wspólnie z nim sposób organizowania.

Odbyliśmy w końcu marca posiedzenie Kierownictwa w mieszkaniu jego przy ul. Hożej. Po raz ostatni widziałem wtedy Rataja.

Na drugi dzień, było to w sobotę, wczesnym rankiem zabrało go znów gestapo.

Tym razem Rataj z więzienia już nie wrócił.

Lud polski stracił w jego osobie utalentowanego wiernego syna i gorliwego działacza, cały naród wielkiego patriotę, a my, blisko z nim pracujący ludowcy — nieodżałowanego, serdecznego przyjaciela.

Sylwetka Marszałka Rataja nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał jeszcze o jego życiu rodzinnym. Był wzorowym mężem i ojcem. Po przedwczesnej utracie żony całą swoją miłość i ukochanie ojcowskie skupił na jedynej córce, Haneczce.

Najmilszymi dla niego, jak często mawiał, były chwile spędzane w domu w towarzystwie ukochanej córki, która pod jego troskliwą opieką wzrastała i kształciła się. Na rok przed wybuchem wojny wydał ją za mąż.

Tragiczny los zrządził, że ta jedyna ukochana jego córka, wraz z mężem i rocznym synkiem, Maciusiem, zginęła w czasie powstania pod gruzami zbombardowanego domu przy ulicy Hożej, gdzie za życia mieszkał i pracował Rataj.

OD REDAKCJI

Po tragedii wrześniowej 1939 r. niezależność życia narodowego kształtować się musiała w głębokiej tajemnicy przed okupantem, w tak zw. „podziemiach". Stąd też powstała nazwa „POLSKI PODZIEMNEJ". Była bowiem Polska widoma, jawna i tratowana brutalnym butem barbarzyńcy, a zarazem ta sama Polska w utajeniu się prężyła i coraz to mocniejsze ciosy zadawała okupantowi. W narodzie polskim nie było wszak przecież ludzi takich, którzy by rezygnowali z wolności i niepodległości narodowej. Cały naród wierzył żarliwie w upadek germańskiego barbarzyństwa, a zarazem w pełne zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości. Jednako chłopi, robotnicy i mieszczaństwo — jako też inteligencja pracująca i cały świat polskiej nauki — wszyscy jednako opornie i bojowo byli nastawieni w stosunku do okupanta. Pod tym względem nie było też żadnych różnic wśród partyj politycznych. Różnice zachodziły w wyobrażeniach co do przyszłego urządzania się w Polsce — po jej wyzwoleniu — ale na pierwszym etapie, na drodze walki o wyzwolenie wszystkie partie polityczne solidarnie walczyły i przodowały narodowi w krwawych zmaganiach z zalewem germaństwa. W zmaganiach tych zorganizowane szeregi Ruchu Ludowego w swej postawie, sprawności i zwartości bojowej — nie ustępowały bojowym szeregom innych warstw społecznych.

Wkład chłopskiej wytrzymałości nerwów, energii w działaniach i — co najważniejsze — wkład chłopskiej krwi w walkach z okupantem — był olbrzymi. Stanowi to cała historie udziału chłopów w życiu „POLSKI PODZIEMNEJ".

Dzisiaj jest niepodobieństwem w pełni i wiernie odtworzyć udział chłopów w walkach z okupantem. Potrzebne są do tego materiały, które należy dopiero zebrać, a nie jest to sprawą łatwą. Aż nazbyt dobrze wiemy o tym, że w czasie działań konspiracyjnych, ze względu na dobro sprawy, należało unikać pisaniny i gromadzenia akt. Pod tym względem panowała daleko posunięta wstrzemięźliwość. Dlatego też, jeśli nawet tu i owdzie pozostały jakieś archiwa, to są one niekompletne. Największy zbiór raportów, sprawozdań i różnorakich zapisek — znajdował się w Warszawie, jako centrum całości akcji kospiracyjnej. Na skutek zburzenia Warszawy zbiór ten został jednak mocno zdekompletowany.

Pozostało jednak wielu ludzi, którzy w życiu konspiracyjnym uczestniczyli i zapamiętali mnóstwo faktów. Należy zatem wydobyć na wierzch nie tylko strzępy archiwalne, ale i to wszystko, co pozostało w pamięci uczestników życia konspiracyjnego.

W odniesieniu do pamięci ludzkiej zaistnieć może obawa, że pamięć jest zawodna, a do tego jeszcze właściwości ludzkie są różne. Ale to nie będzie rzeczą najważniejszą. Ważnym będzie zebranie faktów, jako podstawowych materiałów dla przyszłego historyka.

W związku z tym w najbliższym czasie wydany zostanie przez nas odpowiedni kwestionariusz wraz z instrukcjami, dotyczącymi gromadzenia posiadanych w terenie materiałów archiwalnych — celem ich uporządkowania i uzupełnienia zapiskami protokularnymi.

Jednocześnie zaznaczamy: na łamach „Chłopskiego Świata" sporo miejsca będziemy poświęcać na publikowanie posiadanych materiałów. W najbliższym numerze rozpoczniemy druk serii artykułów, odtwarzających bieg prac prowadzonych w konspiracji przez Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego.

REDAKCJA „CHŁOPSKIEGO ŚWIATA"

Prof. Dr TADEUSZ KLIMOWICZ

Wartość materializmu a idealistyczne podstawy kultury

UWAGI WSTĘPNE

Zagadnienie wartości naukowej materialistycznego poglądu na świat nabrało szczególnej aktualności w przeżywanym obecnie przez nas momencie historycznym.

Ludzkość bowiem stanęła w obliczu nieodzownej konieczności nie tylko ustalenia zasad struktury społeczno - ekonomiczno - politycznej narodów świata, lecz i zdania sobie sprawy z filozoficznej podbudowy tych zasad. Człowiek bowiem jest „zwierzęciem metafizycznym", [1]) i wobec tego „na próżno byśmy udawali sztuczną obojętność wobec takich badań, których przedmiot nie może być obojętny dla natury ludzkiej". [2])

Nieodzowność sięgnięcia do podstaw filozoficznych, wynikająca z wrodzonej duszy ludzkiej zadumy nad istotą bytu, staje się tym zrozumialsza, że w dźwiganiu zrębów nowego życia ludzkość oprzeć się powinna i musi nie na hasłach przemijających, koniunkturalnych, lecz na zasadach niewzruszonych.

Zagadnienie materialistycznego poglądu na świat stało się — bez dostatecznych podstaw — problemem o wyraźnym posmaku społeczno-ekonomicznym, i wskutek tego przy wszelkich próbach analizy wprowadza w grę subiektywne nastawienia emocjonalne, wypaczające częstokroć bieg obiektywnego logicznego rozumowania. Umysł staje się wówczas służką uczucia.

Jakże bardzo np. jest dziś rozpowszechnione mniemanie, że radykalizm społeczno-ekonomiczny musi się wiązać z wyznawaniem materializmu filozoficzno-psychologicznego. A przecież dzieje filozofii wykazują, że właśnie idealistyczne systemy o wiele częściej prowadziły do radykalizmu społeczno-ekonomicznego, niż doktryny materialistyczne.

Sądzę, że niedostateczne uświadomienie sobie powyższego faktu wynika z tego potężnego wpływu, jaki wywarł marksizm na wzrost prądów radykalnych. Ponieważ marksizm jest — w swym aspekcie filozoficznym — systemem nawskróś materialistycznym, przeto łatwo powstać mogło przeświadczenie o wewnętrznej łączności pomiędzy radykalizmem społeczno-ekonomicznym a materialistycznym poglądem na świat.

Otóż, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dokładniejsza analiza tego zagadnienia, zwłaszcza uwzględniająca strukturę psychiczną natury ludzkiej, prowadzi do wniosku, że właśnie z idealistycznego poglądu na świat wypływa konsekwentnie radykalizm społeczno-ekonomiczny. Z tego to — między innymi — względu *Nietzsche* (1844—1900) z taką namiętną, niepohamowaną wrogością odnosił się do chrześcijaństwa, przekazując to nastawienie hitleryzmowi. [3])

Rozprawka niniejsza składa się z trzech części.

W pierwszej zastanowimy się nad zagadnieniem stosunku wyników współczesnego przyrodoznawstwa do materializmu. Będzie nam tu chodziło przede wszystkim o wyjaśnienie sprawy, czy nauki przyrodnicze mogą być istotnie uważane za ostoję materializmu, za zasadnicze źródło argumentów na rzecz jego słuszności.

Drugą część rozprawki poświęcimy zestawieniu twierdzeń materializmu z wynikami badań psychologii współczesnej.

W trzeciej wreszcie części, biorąc pod uwagę rezultaty analizy, dokonanej w dwu częściach pierwszych, postaramy się naszkicować — w najogólniejszych — rzecz prosta — zarysach — zasadnicze elementy poglądu na świat, który — naszym zdaniem — zagwarantować mógłby ludzkości pewność wznoszenia gmachu nowego życia na podstawach trwałych, a słusznych i pełnych otuchy.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień i uprzedzenia wszelkiego rodzaju „współczesnych" chwytów polemicznych autor odrazu na wstępie zaznacza, że nie ma pretensji do stwarzania nowego poglądu na świat i że wszystkie zasadnicze ogniwa swych rozważań zawdzięcza wielkim twórcom idealistycznych systemów filozoficznych oraz analizie wyników współczesnego przyrodoznawstwa i psychologii.

Niniejsza popularna rozprawka jest tylko pobieżnym szkicem, w najogólniejszych zarysach nakreślonym planem, którego całkowite a gruntowne wykonanie wymagałoby napisania szeregu dzieł.

Katastrofalny brak książek nie pozwolił autorowi na dostateczne cytowanie źródeł i zmuszał częstokroć do polegania całkowicie na własnej pamięci. Może zresztą brak ten nie wyda się czytelnikowi zbyt rażącym ze względu na popularny charakter niniejszego wydawnictwa.

CZĘŚĆ PIERWSZA

MATERIALIZM A PRZYRODOZNAWSTWO

Przez materializm rozumiemy koncepcję filozoficzną, uznającą materię za istotę bytu i sprowa-

1) Schopenhauer: „Die Welt als Wille und Vorstellung."

2) Kant: „Kritik der reinen Vernunft" Reclam, Lipsk, wydanie drugie p. 4. Porównaj też p. 3 i 6551

3) Tadeusz Klimowicz: „Istota hitleryzmu" („Chłopski Sztandar", 10.II 1946, Nr. 6, p. 2)).

dzającą pierwiastek psychiczny do roli wytworu układu nerwowego.

Pierwszy wielki system filozofii materialistycznej zawdzięczamy geniuszowi *Leukipposa* i jego ucznia *Demokryta* (ur. w r. 460 prz. Chr.).

Demokryt, który zarówno ogromem wiedzy jak i twórczą potęgą osobowości przewyższał mistrza, twierdził, że materia wieczyście istniejąca nie jest podzielna do nieskończoności, lecz składa się z najdrobniejszych elementów, atomów, które już dalej dzielić się nie dadzą. Atomy te, różniące się od siebie tylko kształtem; położeniem i następstwem, poruszają się ustawicznie w próżni. Nie ma nic w przyrodzie poza ruchami atomów w próżni.

Dusza ludzka jest też materialna; składa się ona również z atomów — nieco tylko odmiennego rodzaju. Stąd wynikało odrzucenie postulatu nieśmiertelności duszy. Rozpada się ona po śmierci na atomy i jest zjawiskiem przemijającym w świecie, rządzącym się nieubłaganymi prawami ruchu materialnych atomów.

System filozoficzny *Demokryta* zawierał już wszystkie zasadnicze elementy materialistycznego poglądu na świat, tak iż w dalszym swym rozwoju historycznym materializm nie dorzucił prawie nic nowego do wyobrażeń swego twórcy.

Pewnego pogłębienia ideologii materialistycznej dopatrywać się można w poglądach stoików. *Zenon* (336—264), założyciel szkoły stoickiej, biorąc pod uwagę bezwładność materii i — prawdopodobnie — uwzględniając dane w introspekcji poczucie odmienności zjawisk psychicznych od świata materialnego, wprowadził pojęcie specjalnej subtelniejszej materii, „pneumy", z której miały się składać dusze ludzkie, i która miała też wchodzić w skład wszystkich w ogóle ciał, jako czynnik dynamiczny, pobudzający materię do ruchu. Tak więc ruch bezwładnej materii *Zenon* starał się wyjaśnić działaniem „pneumy". Wynika stąd, że stoicy uświadamiali już sobie trudności konsekwentnego rozciągnięcia wyobrażeń materialistycznych na całość bytu.

Najkrańcowszym przedstawicielem materializmu helleńskiego był *Epikur* (341—270), który z doktryny materialistycznej wysnuł wszystkie konsekwencje psychologiczne i moralne, nie uznając nieśmiertelności duszy ludzkiej i stwarzając etykę nawskróś hedonistyczną.

Owo powiązanie materialistycznej koncepcji bytu z hedonizmem etycznym jest — zresztą — rzeczą psychologicznie zupełnie zrozumiałą.

Szczególnie jaskrawo wyraził się ten związek w filozofii *La Mettrie*'go (1709—1751). Już tytuły zasadniczych prac tego autora mówią same za siebie: „człowiek-maszyna" (L'homme machine), „sztuka używania, czyli szkoła rozkoszy" (L'art de jouir ou l'école de la volupté).

Poglądy materialistyczne i ich podstawy zostały przez *La Mettrie*'go wyłożone w sposób tak prosty i plastyczny, że najłatwiej będzie wziąć je za podstawę do analizy wartości naukowej przesłanek materializmu; tym bardziej że późniejsi przedstawiciele tego kierunku filozoficznego nie potrafili dodać żadnego argumentu, którego by nie był użył *La Mettrie*.

Już w poglądach myślicieli greckich, hołdujących materializmowi, występowała wyraźnie zasada wszechwładnego panowania przyczynowości mechanistycznej: jednakowe czynniki z nieubłaganą konsekwencją prowadzą do identycznych skutków. Nie ma tu miejsca na jakąkolwiek dowolność, na jakąkolwiek możność swobodnego wyboru. To stanowisko zostało ogromnie wzmocnione przez późniejsze przyrodoznawstwo, którego szczytowymi reprezentantami byli *Kopernik* (1473—1543), *Kepler* (1571—1630), *Galileusz* (1564—1642) i *Newton* (1642 — 1737).

Toteż *La Mettrie* stał na stanowisku tak właśnie pojętej przyczynowości, a punktem zasadniczym swych rozważań filozoficznych uczynił zagadnienie istoty duszy ludzkiej, starając się wykazać jej materialność.

Podstawą argumentacji *La Mettrie*'go był powszechnie znany fakt, że istnieje pewna zależność pomiędzy doznaniami psychicznymi a zjawiskami fizjologicznymi przebiegającymi w organizmie człowieka. Będąc z zawodu lekarzem, *La Mettrie* nagromadził ogromną ilość faktów stwierdzających daleko idący wpływ schorzenia różnych narządów ciała na sprawność funkcyj psychicznych; wskazywał na silne działanie różnych środków chemicznych na zjawiska psychiczne itd.

Stwierdziwszy w ten sposób niewątpliwą zależność pomiędzy zjawiskami psychicznymi a fizjologicznymi, *La Mettrie* wysnuwał stąd wniosek, że zjawiska psychiczne są natury materialnej. Trudno bowiem wyobrazić sobie — tak rozumował *La Mettrie* — aby zjawiska materialne działać mogły na jakąkolwiek substancję niematerialną, o ile by dusza miała być taką właśnie substancją.

Z takiego stanowiska filozoficznego *La Mettrie*— idąc utartymi szlakami materializmu — wyprowadził krańcowy hedonizm moralny: celem życia jest używanie, zapewnienie sobie jak największej ilości doznań rozkosznych.

Organizm ludzki *La Mettrie* uważał za maszynę, rozciągając w ten sposób na człowieka zapatrywania *Kartezjusza* (1596—1650), który uważał zwierzęta za żywe maszyny.

Przystępując obecnie do analizy krytycznej materializmu ze stanowiska przyrodoznawstwa stwierdzamy, że — po pierwsze — *podważyło ono powszechność zasady przyczynowości mechanistycznej* i — po wtóre — *wykazało, że organizm nie jest maszyną.*

Idea niemożności wyjaśnienia objawów życia wyłącznie zasadami, obowiązującymi w mechanice makrociał 4), wypowiadana była oddawna zarów-

4) Atomy, cząsteczki, elektrony i elementarne cząstki światła, tzw. kwanty światła, czyli fotony, zaliczamy — ze względu na ich niesłychanie drobne wymiary — do świata mikrociał. Dział fizyki, poświęcony badaniom tych właśnie ciał, nazywamy mikrofizyką, którą przeciwstawiamy makrofizyce, mającej do czynienia z ciałami o wymiarach znacznie większych, z makrociałami.

no przez filozofów jak i biologów; ale zupełnie ścisłe uzasadnienie błędności mechanistycznego pojmowania życia zawdzięczamy dopiero rewolucyjnym zdobyczom najnowszej fizyki, operującej niezwykle płodną teorią kwantów *Maxa Planck'a* oraz najnowszej gałęzi biologii, tzw. biologii kwantów, powstałej na gruncie zastosowania teorii kwantów do badań biologicznych.

Aby ułatwić czytelnikowi dokładne zrozumienie dalszych wywodów, musimy tu podać kilka wyjaśnień i zdefiniować kilka pojęć, którymi się nadal posługiwać będziemy.

Jednym z największych triumfów fizyki współczesnej było ścisłe stwierdzenie *realnego istnienia atomów*. Atomy *Demokryta* były utworami nawskroś hipotetycznymi, powołanymi do życia przez teoretyczne myślenie w celu wyjaśnienia rzeczywistości. W takim też charakterze zostały wprowadzone do nauki chemii przez *Dalton'a* (1766 — 1844) i taki też charakter zachowały aż do końca dziewiętnastego wieku, kiedy to jeszcze niektórzy pierwszorzędni badacze, uznając praktyczną potrzebę przyjęcia istnienia atomów jako hipotezy roboczej, podkreślali jednak całkowitą hipotetyczność ich bytu.

Dopiero w wieku dwudziestym, po dokonaniu odkrycia pierwiastków promieniotwórczych przez genialną rodaczkę naszą *Marię ze Skłodowskich Curie* (1867—1934), dzięki badaniom szeregu kongenialnych fizyków nie tylko wyjaśniono w zasadniczych zarysach skomplikowaną budowę atomów, lecz i zdołano za pomocą niezmiernie pomysłowych aparatów stwierdzić namacalnie realne ich istnienie, tak iż obecnie możemy wykonywać doświadczenia nad poszczególnymi nawet atomami.

Otóż ta część fizyki, która zajmuje się prawami, rządzącymi ruchem atomów, cząsteczek, elektronów itd., czyli tzw. mikrociał, ze względu na ich minimalne wymiary 5), otrzymała nazwę mikrofizyki w przeciwstawieniu do tzw. makrofizyki, która zajmuje się ciałami o znacznie większych rozmiarach, tzw. makrociałami. W świecie makrociał panują wszechwładnie zasady klasycznej mechaniki N e w t o n'a, panuje zasada przyczynowości mechanistycznej, opiewająca, iż każdorazowy stan jakiegokolwiek układu fizycznego jest nieodwołalną przyczyną stanu następnego tegoż układu i nieubłagalnym skutkiem jego stanu poprzedniego. Jak widzimy, nie ma tu miejsca na jakiekolwiek zboczenie z drogi wytyczonej z bezwzględną koniecznością przez działania przyczyn, nie ma tu mowy o możności dokonywania jakiegokolwiek wyboru. Powołując się na tę zasadę przyczynowości mechanistycznej, zwolennicy materializmu zwalczali zasadę wolnej woli i głosili bezwzględny determinizm.

Otóż, imponujące badania mikrofizyczne, oparte na teorii kwantów, wykazały ponad wszelką wątpliwość, ż e z a s a d a p r z y c z y n o w o ś c i m e c h a n i s t y c z n e j n i e o b o w i ą z u j e ś w i a t a m i k r o c i a ł. Okazało się, że atomy posiadają — mówiąc obrazowo — daleko idącą swobodę wyboru sposobu reagowania na działanie czynników, których używamy w eksperymentach, t a k i ż p r z e w i d z e n i e w y n i k u d z i a ł a n i a j a k i e g o k o l w i e k c z y n n i k a n a d a n y a t o m n i e j e s t m o ż l i w e. Czy należy stąd wyprowadzić wniosek, że w świecie mikrociał panuje całkowity chaos, że nie obowiązują tam żadne prawidłowości? A jeżeli tak, to w jaki sposób uzgodnić to podziwu godne zjawisko z tak dobrze nam znanym i tak całkowicie ugruntowanym faktem wszechwładnego panowania w świecie makrociał przyczynowości mechanistycznej?

Otóż, owa „nieokreśloność", przejawiająca się w świecie mikrociał, o której wspomnieliśmy poprzednio, nie jest jednak bynajmniej stanem całkowitego chaosu: w świecie tym bowiem panują również ściśle określone zasady dziania się; są to k w a n t o w e z a s a d y s t a t y s t y c z n e. Dopuszczają one wprawdzie pewien „subiektywizm" w postępowaniu pojedyńczych atomów, ale jednocześnie dają m o ż n o ś ć p r z e w i d y w a n i a z o d p o w i e d n i ą d o z ą p r a w d o p o d o b i e ń s t w a z a c h o w a n i a s i ę w i ę k s z y c h z e s p o ł ó w a t o m o w y c h, czyli — innymi słowy mówiąc — d a j ą m o ż n o ś ć p r z e w i d y w a n i a r e a k c j i m a k r o c i a ł, z których każde jest właśnie mniejszym lub większym skupieniem atomów.

Tak więc zasada przyczynowości mechanistycznej, wszechładnie panująca w królestwie makrociał, stanowi niejako u p r o s z c z o n y w y n i k k w a n t o w y c h p r a w s t a t y s t y c z n y c h, r z ą d z ą c y c h z a c h o w a n i e m s i ę m i k r o c i a ł. Makrokosmos jest uproszczonym, schematycznym obrazem barwnej gry twórczych sił mikrokosmosu.

Tak więc z otchłani genezyjskich wieje ku nam ożywczy, otuchę niosący wicher wolności i swobody.

Nasuwa się teraz pytanie wagi zasadniczej: czy to ograniczenie zasięgu stosowalności zasady powszechnej przyczynowości mechanistycznej, dokonane przez badania mikrofizyczne, rozciąga się na świat istot żywych, czy też organizmy uznać należy, jak chce materializm, za wysoce skomplikowane maszyny?

Na to pytanie daje odpowiedź jasną i zdecydowaną najnowszy dział biologii współczesnej, zwany biologią kwantów.

Wiemy dobrze, że większość organizmów zwierzęcych i roślinnych należy do ciał widzialnych gołym okiem, a więc do świata makrociał. Wprawdzie wszystkie organizmy składają się z komórek, a są też ustroje, zarówno roślinne jak i zwierzęce, które w ciągu całego swego życia stanowią pojedyńcze komórki, ale same komórki są to przeważnie kolosy wobec atomów i cząsteczek, z którymi ma do czynienia mikrofizyka.

Znamy jednak tzw. w i r u s y, czyli zarazki przesączalne, tj. przechodzące przez sączki, które zatrzymują zwykłe bakterie; nawet ultra-

5) Średnica jądra atomowego jest mniej więcej rzędu 10—12 cm.; a śrdnica atomu — rzędu 10—8 cm.

mikroskop nie wykrywa obecności tych zarazków. Najdrobniejsze wirusy są prawie tej samej wielkości, co cząsteczki ciał białkowatych, które — jak wiadomo — składają się niekiedy z kilku tysięcy atomów.

Do wirusów zaliczamy też tzw. bakteriofagi, czyli — jak sama nazwa wskazuje — zarazki niszczące bakterie. Są to organizmy o wymiarach, zbliżających je do świata mikrociał, np. średnica bakteriofaga, niszczącego Bacillus coli, bakterię, wywołującą samorozgrzewanie się wilgotnego siana, równa się 0,02 mikrona.

Tak więc wirusy i bakteriofagi zaliczyć już możemy do świata mikrociał. Do tego też świata należą geny, owe materialne podłoża cech dziedzicznych, występujące w chromosomach w ilości niekiedy kilkuset. Najnowsze badania wykazały, że geny są pojedyńczymi cząsteczkami żywego białka. Jeżeli zaś chodzi o komórki wchodzące w skład ciała tkankowców (Metazoa), to współczesna biologia kwantów wykazała ponad wszelką wątpliwość, że w komórkach ustrojów znajdują się tzw. „ośrodki życia", lub „centra dyspozycyjne" o wymiarach całkowicie mikrofizycznych, których zniszczenie pociąga za sobą śmierć całego ustroju, będącego już makrociałem. Śmierć całego ustroju po zabiciu ośrodka witalnego tłumaczymy sobie przez założenie, że ustrój zachowuje się na podobieństwo tzw. wzmacniacza fizycznego, przekształcającego zjawisko mikrofizyczne w efekt makrofizyczny.

W celu uplastycznienia tego zjawiska biologowie posługują się zazwyczaj pojęciem „lawiny", która tworzy się właśnie wskutek gwałtownego przekształcania się małej bryłki śniegu w potężne zwały, obracające niekiedy w gruzy swą straszliwą siłą całe osiedla ludzkie.

Prace eksperymentalne, które doprowadziły do wykrycia ośrodków witalnych, dotyczyły przede wszystkim działania promieni ultrafioletowych na bakterie, oraz wywoływania sztucznych mutacji za pomocą promieni Röntgen'a.

Dla przykładu weźmy tu pod uwagę badania, dotyczące zabójczego działania promieni ultrafioletowych na komórki Bacillus coli, powodującej, jak już wspomnieliśmy, samorozgrzewanie się wilgotnych kup siana. Każda taka bakteria o długości 2μ i średnicy 0,5μ składa się ze 100.000 milionów atomów. Naświetlając te komórki promieniami ultrafioletowymi, wystawiamy je na grad niezliczonych pocisków, jakimi są kwanty światła, czyli fotony. Obserwując działanie takiego obstrzału, stwierdzimy zjawisko bardzo ciekawe. Mianowicie, nie wszystkie komórki zostaną odrazu zabite, lecz — przeciwnie — zaobserwujemy, że obok takich bakteryj, które padną na polu walki natychmiast po rozpoczęciu bombardowania fotonami, inne zostaną się przy życiu, tak jakby kwanty światła ultrafioletowego wcale na nie nie działały. Obliczenia statystyczne wykazały, że tym obumieraniem komórek rządzi bardzo prosta reguła matematyczna. Mianowicie, jeżeli tak dobierzemy natężenie światła, aby po 10 sekundach jego działania obumarła połowa całej ilości komórek, to przy dalszym naświetlaniu dziesięciusekundowym pozostanie przy życiu 1/4 część bakteryj, a po 30 sekundach działania światła (licząc od początku eksperymentu) ostanie się przy życiu jedna ósma część żyjątek; a więc każda dalsza, 10 sekund trwająca ekspozycja, zabija za każdym razem połowę bakteryj, które żyły jeszcze na początku tej dziesięciosekundowej ekspozycji. Ponieważ ilości fotonów, ostrzeliwujące bakterie, są olbrzymie, przeto taki wynik eksperymentu wyjaśnić sobie można tylko zakładając, że komórki mogą być zabite wyłącznie przez zniszczenie mikrofizycznych ośrodków życia, dokonywane przez pojedyńcze fotony. Teoria prawdopodobieństwa decyduje tu o „szczęśliwym strzale", którego dokonać musi foton, trafiający w układ, złożony że 100.000 milionów atomów 6). Tego rodzaju eksperymenty stwierdzają słuszność hipotezy, iż w komórkach organizmu istnieją mikrofizyczne ośrodki, których zniszczenie prowadzi do obumierania całego ustroju.

Do podobnego wniosku doprowadzają eksperymenty nad sztucznym wywoływaniem mutacyj działaniem promieni Röntgen'a. Przez mutację rozumiemy nagłe wystąpienie nowej cechy organizmu, która zostaje przekazana potomstwu i prowadzi do powstania nowego gatunku.

Jak wiadomo, Hugo de Vriès (ur. w r. 1848), sądził, że tylko takie nagle występujące i dziedziczne cechy, czyli mutacje, mogą być źródłem powstawania nowych gatunków. Twierdzenie to stanowi istotę hipotezy tz. mutacyjnego powstawania gatunków. Takie mutacje występują w przyrodzie stosunkowo dość rzadko. Okazało się, że można je wywołać działaniem promieni Röntgen'a, które dokonywują przeobrażeń genów. Badania te doprowadziły również do wniosku, że geny są pojedyńczymi cząsteczkami białka, że należą więc do świata mikrofizycznego.

Tak więc biologia kwantów stwierdziła istnienie w komórkach organizmów ośrodków witalnych o wymiarach mikrofizycznych, a przez to wyzwoliła życie spod beznadziejnej supremacji przyczynowości mechanistycznej, czyli obaliła w sposób ścisły twierdzenie, jakoby organizmy były maszynami.

Już przed zastosowaniem teorii kwantów do zjawisk biologicznych cały szereg przyrodników

6) Patrz Pascual Jordan: „Die Physik und das Geheimnis des organischen Lebens", p. 93—95. („Die Wissenschaft", tom 95, Friedrich Vieweg u. Sohn, Braunschweig, 1943 r., p. 183).

i myślicieli wypowiadał się przeciwko twierdzeniu, że organizm jest maszyną, podkreślając znamię spontanicznej twórczości i zdolności celowego, sensownego reagowania na działanie podniet, jako cechy charakterystyczne dla istot żywych, a w tym kierunku myśli najgłębsze wypowiadali i posługiwali się argumentami najbardziej przekonywującymi i oryginalnymi zoolog-myśliciel, H a n s D r i e s c h 7) (ur. 1867 r.) i słynny filozof H e n r i B e r g s o n 8) (1859 — 1941).

Omówione powyżej rozluźnienie zasady przyczynowości mechanistycznej przez stwierdzenie panowania w świecie mikrociał statystycznych reguł kwantowych oraz rozciągnięcie tych reguł na funkcje witalnych ośrodków organizmów m o ż e b y ć u w a ż a n e z a a r g u m e n t n a r z e c z i n d e t e r m i n i z m u, s t a n o w i ą c n i e j a k o o d p o w i e d n i k o b j a w ó w w o l n e j w o l i w ś w i e c i e p s y c h i c z n y m c z ł o w i e k a.

Słynny fizyk i astronom angielski, J a m e s J e a n s, w sposób zupełnie zdecydowany zajmuje takie właśnie stanowisko, któremu dał mocny wyraz w pięknej pracy „T h e m y s t e r i o u s U n i v e r s e" („Tajemniczy wszechświat"), przełożonej na język polski pod tytułem „N o w y ś w i a t f i z y k i" 9). „W przeciwieństwie do dawnych mechanistycznych koncepcyj — powiada wspomniany genialny badacz — obraz wszechświata, przedstawiany nam przez obecną fizykę, pozostawia w swym zakresie więcej miejsca dla istnienia życia i świadomości wraz z atrybutami, które zwykliśmy łączyć z nimi, jako to wolną wolą oraz zdolnością wpływania samą naszą obecnością na bieg i istotę wszechświata. Albowiem być może niezależnie od tego, co wiemy, oraz niezależnie od zaprzeczeń nowoczesnej nauki, bogami, grającymi rolę przeznaczenia w stosunku do atomów, wchodzących w skład naszych mózgów jest własna nasza wola. Być może, iż za pośrednictwem tych atomów wpływa ona na ruchy naszych ciał, a przez to i na stan otaczającego nas świata. D z i s i e j s z a n a u k a n i e m o ż e j u ż d ł u ż e j z a m y k a ć d r o g i t e j m o ż l i w o ś c i, n i e r o z p o r z ą d z a o n a j u ż b o w i e m ż a d n y m i n i e z b i t y m i a r g u m e n t a m i, k t ó r y m i b y m o g ł a z w a l c z a ć n a s z e w r o d z o n e p r z e ś w i a d c z e n i e o i s t n i e n i u w o l n e j w o l i." 10)

7) Hans Driesch: „Die Seele als elementarer Naturfaktor". Hans Driesch: „Maschine und Organismus".

8) Henri Bergson: „Matière et mémoire".
„ „ : „L'évolution créatrice".
„ „ :L'énergie spirituelle".
Dwie pierwsze prace Bergsona istnieją w tłumaczeniu polskim.

9) Biblioteka wiedzy. Tom 3. Trzaska, Ewert i Michalski; Warszawa, str. 167.

10) Op. cit., p. 35. Podkreślenie nasze.

CZĘŚĆ DRUGA

MATERIALIZM A PSYCHOLOGIA 1)

Jedynym bezpośrednim źródłem naszych wiadomości o istocie życia duchowego są nasze własne doznania. Toteż nie ma najmniejszej możliwości poinformowania kogokolwiek o istocie jakiegokolwiek stanu psychicznego, o ile ten ktoś owego stanu nigdy nie doświadczał. Wszystko, cokolwiek byśmy powiedzieli o przeuroczej krasie i różnorodności wspaniałych barw człowiekowi ślepemu od urodzenia, lub o niewysłowionym czarze symfonii dźwięków jednostce od urodzenia głuchej, wszystko to miałoby znaczenie tylko martwego surogatu słownego, nie owianego ciepłem i jedynie przekonywującą siłą osobistego doznania. Wprawdzie jeden ze współczesnych kierunków psychologii, tzw. bihejwioryzm (behaviour), odrzucając całkowicie wartość metody introspekcji przy badaniu życia duchowego, uprawia „psychologię bez duszy" i ogranicza się jedynie do ścisłego opisu eksperymentów nad zachowywaniem się (behaviour) człowieka. „Przedmiotem psychologii — powiada np. *Sandiford* 2) — jest zachowanie się lub czynności istot ludzkich", a różnica pomiędzy tak pojmowaną psychologią i fizjologią ma polegać jedynie na tym, że psychologia bada reakcje organizmu jako całości, gdy tymczasem fizjologia zajmuje się funkcjami części organizmu, czyli jego narządów. 3)

Bihejwioryzm może wprawdzie dostarczyć sporo cennych przyczynków do głębszej znajomości funkcyj systemu nerwowego, posługując się zwłaszcza metodą odruchów warunkowych, *ale pozostanie zawsze całkowicie bezradny wobec zagadnienia sensownej struktury osobowości ludzkiej.*

W świetle badań psychologii postaci oraz psychologii rozumiejącej, dusza ludzka jest harmonijną jednolitą osobowością, w której poszczególne aspekty powiązane są ze sobą strukturalnie, dając w wyniku „wielojednię" (unitas multiplex), jak się wyraził *William Stern*, twórca personalizmu. Samo obserwowanie zachowania się człowieka, które stanowi jedynie zewnętrzny wyraz doświadczonego przezeń stanu psychicznego, nie daje najmniejszej możliwości głębszej oceny owego zachowania się bez introspekcyjnego wniknięcia w intencjonalną sensowność struktury jego osobowości.

Bezpośrednio pewni możemy być tylko własnych doznań psychicznych. One to stanowią jedyną domenę faktów, wobec których milknie najbardziej nawet metodyczny sceptycyzm. Jasność i wyraźność tej wiedzy o sobie doprowadziły *Kartezjusza* (1596 — 1650) do sformułowania słynnej zasady „cogito, ergo sum" (myślę, więc je-

1) Saupe Emil. „Einführung in die neuere Psychologie" (4. und 5. Auflage. A. W. Zickfeldt, 1931 r., str. 453).

2) „Its subject-matter is the behaviour or activifies of human beings" (Peter Sandiford: „Educational psychology", p. 3. London, 1928. Longmans, Green and Co. str. XIX + 406).

3) Op. cit, p. 3.

stem). Można zwątpić o wszystkim, ale niepodobna wątpić, że się myśli, wątpiąc, że powątpiewanie jest doświadczaniem stanów psychicznych. Wszystko, co wiemy o świecie zewnętrznym, nie wyłączając własnego ciała, wiemy na podstawie doznań psychicznych, a stopień pewności istnienia świata zewnętrznego jest znacznie mniejszy od stopnia pewności doznawania stanów psychicznych.

To stanowisko z wielką siłą reprezentowane już było przez *św. Augustyna* (354 — 430), który twierdził, że „własna myśl jest faktem ze wszystkich najpewniejszym", a Berkeley (1685—1753) 4) uczynił zeń podstawę krańcowego idealizmu teorio-poznawczego, znanego pod nazwą solipsyzmu. Według Berkeley'a, rzeczy istnieją o tyle tylko, o ile są spostrzegane; byt ich polega właśnie na tym, że są spostrzegane (esse est percipi); byt zaś człowieka polega na tym, że spostrzega, że doświadcza stanów psychicznych (esse est percipere). Rzeczy nie spostrzegane przestają istnieć, a jeżeli świat zewnętrzny narzuca się nam z pewną natrętną obiektywnością, to jedynie dlatego, że jest on wyobrażeniem Boga. Tego stanu głębokiego przekonania, że nasze życie duchowe stanowi domenę największej, bo bezpośredniej pewności, doświadczamy wówczas zwłaszcza, gdy doznajemy stanów psychicznych uczuciowych lub intelektualnych o wielkim napięciu, jakimi są np. wszystkie akty twórczości. W tych chwilach twórczego uniesienia czujemy się nawskroś jednolitą jaźnią, pozbawioną wszelkich cech właściwych materii, świadomą obcości nawet własnego ciała, które jest nam znane, jak i wszystkie inne ciała, również tylko pośrednio, w drodze działania na nasze narządy zmysłowe. W tych to momentach rozumiemy dokładnie psychologiczne źródło twierdzenia wielu myślicieli, iż dusza jest *substancją prostą*, nie złożoną — w przeciwieństwie do rzeczy materialnych, składających się z oddzielnych części. W owej *prostocie* substancji duchowej upatrywano argument na rzecz nieśmiertelności duszy, jako iż przestać istnieć mogą tylko rzeczy złożone z części przez rozpad na składniki. Owo pojęcie prostoty duchowej współczesna psychologia ujęła w twierdzeniu, iż osobowość ludzka jest jednolitą sensowną strukturą.

Niejednokrotnie zastanawiano się nad różnicami pomiędzy zjawiskami psychicznymi a materialnymi. Najbardziej uderzającą i oczywistą różnicę stanowi tu niewątpliwie fakt, *iż zjawiska psychiczne są nieuymierzalne i — co za tym idzie — podlegają zmianom tylko jakościowym* 5).

Wszystkie wielkości fizyczne możemy mierzyć, a mierzyć, to znaczy porównywać daną wielkość z inną wielkością tego samego rodzaju, przyjętą za jednostkę. Chcąc np. zmierzyć długość jakiegokolwiek przedmiotu, muszę stwierdzić, ile razy mieści się w tej długości inna długość, przyjęta za jednostkę; wynik pomiaru wyrażam np. w twierdzeniu: długość danej linii równa się 15 cm.; znaczy to, że cm., jako jednostka, mieści się w długości danej linii 15 razy. Otóż jednostek do pomiaru zjawisk psychicznych nie mamy. Gdybyśmy je mieli, to moglibyśmy np. powiedzieć, że tęsknota, której dziś doświadczam, jest 3,725 razy silniejsza od tęsknoty, której doznawałem wczoraj; że przerażenie, które mnie wczoraj ogarnęło, było 11.293 razy słabsze od przestrachu, który mnie dzisiaj opanował.

Próbował wprawdzie *Gustaw Teodor Fechner* 6), twórca psychofizyki, obmyśleć sposoby mierzenia zjawisk psychicznych, zakładając, że zaledwie dostrzegalne przyrosty czuć są sobie równe i mogą być uważane za jednostki przy pomiarze natężenia czuć, ale wysiłki *Fechner'a* rozbiły się o niezaprzeczalny fakt eksperymentalny, że zaledwie dostrzegalne przyrosty czuć — wbrew twierdzeniu ojca psychofizyki — nie są sobie równe.

Tak więc, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zjawiska psychiczne nie mogą być mierzone, że więc różnią się one biegunowo w punkcie zasadniczym od zjawisk fizycznych.

W związku z tym stoi fakt, że zjawiska psychiczne podlegają wyłącznie *jakościowym* zmianom (Bergson). Toteż takie wyrażenia, jak „dziś mam silniejszy ból głowy, niż wczoraj", „onegdaj miałem większą przyjemność, niż dziś" itd., których używamy w potocznej rozmowie, w gruncie rzeczy nie mają sensu. Dziś bowiem doświadczam nie „silniejszego" bólu głowy, lecz *inaczej* mnie boli głowa, a onegdajsza przyjemność różniła się od dzisiejszej nie stopniem natężenia, lecz *jakością*, była *inną* przyjemnością.

Zagadnienie *zasięgu* zjawisk psychicznych w przyrodzie oddawna interesowało myślicieli. Już *Empedokles* (483 — 423), *Anaksagoras* (499—428) i *Demokryt* (ur. 460 prz. Chr.) uznawali rośliny za istoty uduchowione, obdarzone zdolnością czucia. *Anaksagoras* posuwał się w tym kierunku tak daleko, że przyznawał roślinom zdolność smucenia się i radowania, twierdził, iż one posiadają inteligencję 7).

Jakkolwiek ścisłe uzasadnienie błędności twierdzenia, jakoby organizmy były maszynami, zawdzięczamy dopiero współczesnej biologii kwantów, opartej na zasadach mikrofizyki, to jednak oddawna już filozofowie i przyrodnicy podkreślali, że istoty żywe różnią się zasadniczo od bezustrojów tzw. *pobudliwością*, czyli zdolnością celowe-

4) „Principles of human knowledge".

5) Porównaj Henri Bergson: „Sur les données immédiates de la conscience". Istnieje przekład polski.

6) „Elemente der Psychophysik" (wyd. II, Lipsk, 1889 r.). Porównaj: Wundt: „Grundzüge der physiologischen Psychologie" (wyd. 4-te, tom I, Lipsk, 1893 r.); W. Heinrich: „Teorie i wyniki badań psychologicznych" (Część I. Warszawa, 1902 r.); Kirschmann: „Grundzüge der psychologischen Massmethoden (p. 351 — 475, rok 1920); praca wydrukowana w E. Abderhalden'a: „Handbuch der biologischen Arbeitsmethoden"; Wilhelm Wirth: „Spezielle psychophysische Massmethoden (r. 1920, str. 1 — 349).

7) Ueberweg Friedrich: „Grundriss der Geschichte der Philosophie" (I Teil, zehnte Auflage, Berlin, 1909 r., p. 67, 68, 73).

go, sensownego reagowania na działanie bodźców, jak to czynił był już *Franciszek Glisson* (1597 — 1677) i *John Brown* (1735 — 1788), upatrując w przejawach tej pobudliwości manifestację pierwiastka psychicznego.

Potężnym bodźcem do dalszego snucia tych wyobrażeń stały się poglądy genialnego biologa francuskiego *Lamarck'a (1744 — 1829)*. W epokowej pracy pt. *„Filozofia zoologii"*, która wyszła w roku 1809, Lamarck po raz pierwszy uzasadniał słuszność ewolucjonizmu i twierdził, że głównym czynnikiem ewolucji ustrojów o dobrze rozwiniętym systemie nerwowym jest pierwiastek psychiczny. *Gustaw Teodor Fechner* (1801 — 1887), słynny twórca psychofizyki, już w pierwszej połowie 19 wieku w pracy „Nanna, czyli o życiu duchowym roślin", gorąco bronił pojęcia psyche roślinnej; a potężny współczesny prąd biologii teoretycznej, nawiązujący do wyobrażeń *Lamarck'a* i zwany psycholamarkizmem, w pracach zarówno eksperymentalnych jak i teoretycznych szeregu wybitnych biologów-myślicieli uzasadniał przekonywująco konieczność przyznania roślinom zdolności doznawania zjawisk psychicznych i kwestionował wyłączną stosowalność zasady przyczynowości mechanistycznej do zjawisk biologicznych. Obok przyczyn sprawczych badacze ci stwierdzali konieczność przyjęcia przyczyn celowych (causa finalis); nie same przyczyny sprawcze wytyczają przebieg zjawisk biologicznych, lecz wynik, do którego dane zjawisko zmierza, zostaje *współoznaczony* przez cel, który ma być osiągnięty w przebiegu danego zjawiska.

Prace niektórych fanatycznych zwolenników psycholamarkizmu doprowadziły do nieuzasadnionego przerostu wspomnianych wyobrażeń, tak iż np. znakomity botanik *R. H. France* 8), autor rozprawy p. t. „Psychologia roślin", wydanej już w r. 1909, w jednej ze swych popularnych broszurek posuwał się w swych twierdzeniach dalej od *Anaksagorasa*, przypisując np. roślinom zdolność odczuwania wdzięczności za wyświadczane im dobrodziejstwa. Są to niewątpliwie poglądy przesadne i nie dające się uzasadnić w drodze ścisłych eksperymentów, tym niemniej nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie najnowsze badania biologiczne podkreślają coraz mocniej i w sposób coraz bardziej przekonywujący, że zjawiska życiowe nie dadzą się sprowadzić do praw makrofizycznych, że nie ma dostatecznych podstaw do uważania organizmów za maszyny, podległe bezapelacyjnie przyczynowości mechanistycznej. Wspaniałym dowodem słuszności tego twierdzenia są piękne i głębokie prace tej miary badaczy współczesnych, co *L. v. Bertalanffy, H. Driesch, J. S. Haldane, A. Meyer, R. Woltereck, A. Wenzl i wielu innych.* Ostatni ze wspomnianych uczonych pracę swą, poświęconą omawianemu tu zagadnieniu, zatytułował w sposób niezmiernie charakterystyczny: „Metafizyka biologii" 9).

Ostateczne uzasadnienie słuszności ewolucjonizmu, rozwiniętego już przez *Lamarck'a*, dokonane przez *Karola Darwin'a* w r. 1859 w dziele *„O powstawaniu gatunków"*, przyczyniło się potężnie do ugruntowania pojęcia psyche roślinnej, dostarczając jej zwolennikom argumentu tak nieodpartego, jakim jest argument ciągłości rozwojowej. Jest rzeczą tak oczywistą, że przyjęcie teorii ewolucji w sposób naturalny skłania nas do szukania pierwocin zjawisk psychicznych już u roślin, że uważamy za zgoła zbyteczne rozwodzenie się nad tą sprawą. Natomiast musimy przeprowadzić analizę zagadnienia, czy nauka współczesna istotnie rozporządza faktami, które byśmy mogli z czystym sumieniem intelektualnym wziąć za podstawę wnioskowania przez analogię, że rośliny też posiadają życie duchowe.

Wszyscy zwolennicy psycholamarkizmu podkreślają z naciskiem ogromną doniosłość wnioskowania przez analogię w badaniach naukowych, i pod tym względem posiadają niewątpliwie zupełną słuszność 10). Tak np. *Karol Darwin* (1809 — 1882) stworzył hipotezę doboru naturalnego przez analogię z działaniem doboru sztucznego. Analogia pomiędzy spadaniem ciał za sprawą siły ciężkości a ruchem wahadłowym świeczników naprowadziła *Galileusza* na myśl, że prędkość prostolinijnego spadku ciał nie zależy od ich ciężaru, jako iż świeczniki różnej wielkości, byle zawieszone na sznurach jednakowo długich, wykonywały jednakowe ruchy wahadłowe. Wielka zasada ciążenia powszechnego, którą zawdzięczamy geniuszowi *Newtona*, powstała też na drodze wnioskowania przez analogię. Wnioskowanie przez analogię polega na tym, że na podstawie pewnych cech badanych ciał lub zjawisk wnosimy o zgodności innych znamion tychże ciał lub zjawisk 11). Jeżeli np. stwierdziliśmy, że ciała „A" i „B" mają wspólne cechy „a", „b", „c", to przez analogię wnioskujemy, że i jakaś inna cecha „d" ciała „A" będzie też właściwa ciału „B". Nie możemy się tu wdawać w dokładną analizę logiczną warunków, które spełnić musimy, o ile wnioskowanie przez analogię doprowadzić ma nas do wyników naukowo wartościowych. Powiemy tylko ogólnie, iż trzeba, aby owe cechy „a", „b", „c", wspólne obu porównywanym ciałom „A" i „B", i stanowiące podstawę wnioskowania, były *istotnymi;* dalej, aby one ujawniały ścisły związek z cechą „d" ciała „A", którą na zasadzie wnioskowania przyznać mamy ciału „B", i wreszcie, aby ciało „B" nie posiadało znamion sprzecznych z cechą „d" 12).

8) R. H. Francé. „Pflanzenpsychologie als Arbeitshypotese der Pflanzenphysiologie" (Stuttgart; 1909; zwłaszcza str. 45, wiersz 18-ty od góry).

9) „Metaphysik der Biologie" (r. 1933).

10) R. Semon. „Die Mneme als erhaltendes Prinzip im Wechsel des organischen Geschehens. (Lipsk, 1908; wyd. II, p. 89); Adolf Wagner. „Der Neue Kurs in der Bilogie" (Stuttgart, 1907 r., p. 51). Porównaj też: E. Mach. „Erkenntnis und Irrtum". (Lipsk, 1905 r.).

11) Wundt Wilhelm. Logik". (I Band: Allgemeine Logik und Erkenntnistheorie. (Stuttgart, 1906 r., wyd. III, p. 327 — 328).

12) Wundt Wilhelm, op. cit., p. 328 — 329.

Otóż współczesna fizjologia wrażliwości roślin rozporządza ogromną ilością ściśle stwierdzonych eksperymentalnych faktów, które wykazują niezwykle daleko idące podobieństwo do odpowiednich zjawisk w organizmach zwierząt i człowieka, i które mogą stanowić dostatecznie szeroką i pewną podstawę do wnioskowania przez analogię, że zmuszeni jesteśmy przyznać roślinom zdolność doświadczania pewnych — oczywiście elementarnych i tymczasem nie dających się dokładnie określić— zjawisk psychicznych.

Fakty te ugrupować możemy w następujące działy:

1. zachodzenie przewodnictwa podrażnień w organizmach roślinnych 13),

2. zastosowalność tzw. praw psychofizycznych *Weber'a-Fechner'a* i *Plateau-Talbot'a* do pewnych objawów wrażliwości roślin 14),

3. istnienie w organizmie roślinnym urządzeń, przypominających swą budową i czynnością najprostsze formy narządów zmysłowych zwierzęcych 15),

4. zjawiska tzw. „nastroju" oraz analogia pomiędzy tymi zjawiskami a objawami adaptacji siatkówki człowieka 16),

5. identyczność wpływu środków narkotycznych na rośliny i zwierzęta 17),

6. zjawiska znużenia u roślin,

7. objawy pamięci w królestwie roślinnym.

Szczegółowe omówienie tych siedmiu kategoryj faktów, stwierdzonych za pomocą ścisłych eksperymentów i zawartych w olbrzymiej literaturze przedmiotu, wymagałoby napisania osobnego dużego dzieła. Toteż musimy się tu ograniczyć do podkreślenia po raz wtóry, że fakty powyższe — zgodnie z omówionymi już warunkami poprawności wnioskowania przez analogię — całkowicie uprawniają nas do twierdzenia, iż należy roślinom przyznać zdolność doświadczania jakichś elementarnych stanów psychicznych. O tych stanach tyle tylko powiedzieć możemy, że — według wszelkiego prawdopodobieństwa — są one nieświadome. (Porównaj: *Loeb Jacques:* „Comparative physiology of the brain and comparative psychology". London, 1905 r., *Bohn Georges:* „La naissance de l'intelligence". Paris, 1909 r., str. 104, 107, 223 — 224, 284).

Tak więc zjawiska psychiczne właściwe są wszystkim organizmom, jakie istnieją na ziemi. To też nic dziwnego, że współczesna biologia kwantów wykazała w sposób ścisły niemożność zastosowania zasad przyczynowości mechanistycznej do objawów życia i przekreśliła raz na zawsze koncepcję organizmu-maszyny. (c. d. n.)

---

13) Darwin Charles. „The power of movement in plants" (1880); Rothert Władysław. „Ueber Heliotropismus" (Cohn's Beiträge zur Biologie der Pflanzen, tom 7, 1894 r.).

Klimowicz Tadeusz. „Przewodnictwo podrażnień fototropicznych w liścieniach owsa" (Kosmos, r. 1912).

14) Klimowicz Tadeusz. „Uebr die Anwendbarkeit des Weberschen Gesetzes auf die phototropischen Krümmungen der Koleoptile von Avena Sativa" (L'académie des sciences de Cracovie, Juillet 1913, str. 465 — 506).

15) Haberlandt. „Physiologische Pflanzenanatomie (wyd. IV, Lipsk, 1909 r., rozdział dwunasty: „Die Sinnesorgane" (str. 502 — 573); Kostytschew-Went: „Lehrbuch der Pflanzenphysiologie" (Berlin, Julius Springer, 1931; zweiter Band, p. 324 — 447).

16) E. Pringsheim: „Einfluss der Beleuchtung auf die heliotropische Stimmung" (Beiträge zur Biologie der Pflanzen, Bd. IX, zeszyt II, 1907 r., p. 263 — 305). Helmholtz: „Handbuch der physiologischen Optik" (wyd. III, tom II, 1911 r., str. 264 — 332).

17) Rothert: „Ueber die Wirkung des Äthers und Chloroforms auf die Reizbewegungen der Mikroorganismen" (Jahrbücher für wissenschaftliche Botanik, tom 39, 1904 r.).

*

ZIARNA

Dzisiejsza Polska bez warstw pracujących to organizm bez krwi. A wieś jest głównym zbiornikiem tych sił, olbrzymich możliwości, toteż o ten zbiornik wszyscy muszą dbać w imię wielkości i przyszłości naszej. Wspólnymi wysiłkami wytworzymy takie warunki, aby warstwa ludowa dała, o ile możności, jak najwięcej Polsce i w mozole swoich zdolnosci przyczyniła się do stworzenia potęgi. Zadanie trudne, obowiązki ciężkie. Chłop, żądny czynu wstępuje w progi Rzeczypospolitej. Bierze w siebie cele narodu, wielkość Ojczyzny. Nie da się odtrącić ani odsunąć, ani przelęknie się gróźb, klątw. Ciosami buntów rozwala zapory zbudowane przez wieki, odgradzające wieś od Polski, aby wniknąć w jej życie i stać się pulsem krwi mocno bijącym, twórczym. W twarde, żylaste garście chwyta kierownicę spraw, jak z wiosną chwyta czepigi pługa, i pójdzie bruzdami ku porankowi, ku słońcu, wyłaniającemu się z pomroki wiekowej Słońce przyorze skibami czarnej ziemi, aby świetliste kłosy wyrosły na chleb ku radości wspólnej wszystkich. Nie ten dawny, pańszczyźniany, skurczony w pokłonie przed możnym, ale z głową podniesioną wkracza na łan polski. Poczucie swojej wartości i obowiązków, duma rodowa, świadoma wola czynu — to jego skuteczna broń. Zadanie przed warstwą ludową, jako dominującą częścią narodu, ogromne, dlatego nieustannie musi pomnażać przyrodzone zdolności.

Strumienie miłości przepłynęły przez serce wsi w dniach cierpień, ucisku, sromoty, i stały się miłością Ojczyzny Zwycięskiej.

Słyszę, jak w bramy tej Zwycięskiej Ojczyzny bije twardy łoskot kroków zbliżającego się chłopa i jego mocne wołanie:

— I D Z I E M Y!

Jan Wiktor — („Ożywcze krynice")

JAN DEC

W czym nasza siła

Nie tylko liczbą — my! — brzmi oddawna zawołanie w szeregach ludowych. Tym bardziej obecnie znaczenie tego hasła wyczuwamy i rozumiemy.

Bo jakżeż na liczbie tylko siłę budować! Skoro nie tak dawno gwałt i przemoc nielicznych z początku totalistów i faszystów przygniotły do ziemi wolę własnych narodów, a później powaliły z nóg i zagroziły zagładą większości narodów Europy. Skoro i dzisiaj świat nie jest jeszcze całkowicie wyzwolony od nacisku i przewagi grup mniejszości, które nie uznają woli większości narodowej, gdyż posiadają w ręku narzędzia łatwiejszej walki.

Że chłopi są w Polsce wielką siłą-liczbą, że na każdych 100 obywateli przypada chłopów blisko 70-ciu, że oni najwięcej dóbr narodowych wytwarzają, że oni żywią naród i głównie go bronią, to wszystko stanowi ważkie i wiele mówiące argumenty, lecz tylko dla ludzi rozsądku, dobrej woli i uznających zasadę demokratycznej budowy społeczeństwa.

Lecz dla tych, którzy w przeszłości chłopów uważali za mierzwę, spulchniającą glebę cudzego dobrobytu, którym na rękę było, iż chłopi w sprawach rządzenia i polityki byli wielkim „niemową" — powyższe argumenty nie posiadały żadnego znaczenia.

A dzisiaj? Czy zachodzi potrzeba rozstawiać na oczach wsi straszaki z przeszłości?

Byłoby to dziecinną zabawką, gdyby wszyscy współcześni, główni aktorzy na scenie życia politycznego uważali chłopów za współrzędnych i równowartościowych partnerów. Że jednak jest tak, iż różni awangardziści, przebojowcy i reprezentanci „świadomej mniejszości" warstwę chłopską oceniają jako liczebnie silne, co prawda, lecz tylko zapasowe rezerwy, to trzeba nam nie samą liczbą się zastawiać, ale wartości moralne, i to również bojowe, komuś przypominać i samym sobie jako wzór stawiać przed oczy.

*

Już w początkach walki ludowej byliśmy silni nie biernym trwaniem i spokojnym rozlewiskiem stawu chłopskiego, kierowanego na cudze upusty, ale olbrzymim wysiłkiem nielicznych, własnych pionierów i budowniczych, którzy ogromną, ukrytą energię tego stawu na chłopskie koła rozpędowe z uporem kierowali. Byliśmy silni ich zapobiegliwością, poświęceniem i ofiarnością w walce.

Gdy najwybitniejszego z nich, Wincentego Witosa, nie ma już pośród nas, a przed nim inni nas opuścili, dla współczesnego pokolenia chłopskich działaczy zabrakło żywych wzorów pierwszego pionierstwa ludowego. Trzeba więc sięgać do wspomnień, w pamięci najstarszych ludowców zachowanych, do pożółkłych już dzisiaj roczników czasopism ludowych, broszur i programów z owych czasów.

Bo ileż stamtąd płynie ku nam cennych nauk i wskazań! Może nie zaimponują nam horyzonty ówczesnej myśli politycznej. Lecz ileż tam mocnych pobudek do czynu!

Pierwsi pionierzy Ruchu Ludowego najczęściej zmuszeni byli działać w pojedynkę czy w drobnych grupkach. Było ich po 2 — 3 we wsi, zazwyczaj po kilku zaledwie na całą podburzoną przeciw nim parafię. We własnej wsi byli osaczani i piętnowani przez wrzeszczącą opinie dewotek lub zrewoltowanego przez dwór tłumu. W niedzielę ciskano na nich gromy z ambon.

Skupianie, organizowanie ludzi nie wyrażało się w łatwym wiecowaniu. Trzeba było całymi milami przemykać się przez sidła, zastawiane przez zbałamuconych pachołków, ażeby z kolegami się spotkać, w małej gromadce naradzić się i postanowić, co robić w powiecie, dowiedzieć się, co słychać w całym kraju, nieraz po to odbywać długie wędrówki, ażeby zdobyć tępione i zagubione na poczcie „gazetki" ludowe.

To były powszechne zjawiska, towarzyszące pracy i walce pierwszych pionierów ludowych. A trudno tu wyliczać wypadki zajadłych prześladowań, zemsty, aresztowań i kar administracyjnych, jakie obficie spadały na pierwszych ludowców.

Z tych odległych lat pionierstwa ludowego dzisiejsze pokolenia działaczy czerpać mogą pełną garścią nieprzebrzmiałe jeszcze wskazania i wzory dla pracy wychowawczej.

Byliśmy już wtedy moralnie i bojowo silni, jakkolwiek liczbą jeszcze nieznaczni. Byliśmy silni zdrowym ziarnem *pionierstwa idei ludowej*.

Wymowę przykładów tego okresu któż lepiej od uczestników walki konspiracyjnej Batalionów Chłopskich może zrozumieć i w budowie Polski Ludowej zastosować!

*

Po kilku latach walki i pracy pionierskiej Ruch Ludowy zaczął się wyrażać w gromadnej organizacji chłopów. Budziła się w masach chłopskich szeroka świadomość własnych interesów i potrzeb publicznych. Z bezwolnej masy chłopi z zadziwiającą szybkością stawali się świadomą warstwą społeczną w narodzie. I oto nie ma bardziej niezwykłego zjawiska, jak ów szybki *pochód chłopów ku Polsce*.

Na pozornym ugorze chłopskim widoczne były słabe ślady pracy oświatowej, budzącej i uświadamiającej narodowo. Kilkanaście lat ofiarnych bezsprzecznie, lecz chodzących niewłaściwymi drogami, wysiłków polskiej inteligencji osiągnęły nie-

wiele. Bo ta budzicielska akcja oświatowa, prowadzona przez kogoś „nad“ ludem, trafiała zazwyczaj w próżnię. Zresztą nie była prowadzona tak wyraźnie tylko z pobudek szczerze narodowych. Często miała na uwadze odrywanie chłopów od „klasowej ciasnoty“ polityki ludowcowej. Usiłowała ich sprowadzać na podwórka partii nacjonalistycznych i klerykalnych. Skutek był taki, że chłopi u siebie, na wsi, pozostali sobą. Bo przecież na tym chłopskim zagonie i w sercu pod zgrzebną koszulą była także Polska. I to Polska twardsza, bez napuszonego frazesu.

Pomawianie pierwszych ludowców o brak patriotyzmu od początku było fałszywym chwytem i nie mogło zamierzonego celu osiągnąć. Przypomnijmy sobie tylko dwa dość szeroko znane fakty.

Wincenty Witos już w pierwszych wystąpieniach w sejmie galicyjskim nie uskarża się wiele na chłopskie „bolączki“, ale odważnie piętnuje ugodowość szlachty wobec rządu zaborczego i wyrzuty jej czyni o brak patriotyzmu w organizowaniu przez oddanych jej ludzi szkolnictwa „ludowego“, które nie uświadamiało narodowo, ale starało się umacniać uległość wobec zaborcy.

To znowu Jakub Bojko, którego starościńskie „cuda nad urną“ pozbawiły mandatu poselskiego w rodzinnym powiecie, a obdarowany tym mandatem przez patriotyczny Lwów, wygłasza tam mowy, przepojone głębokim umiłowaniem Ojczyzny i podkreśla wspólne obowiązki miasta i wsi wobec narodu.

W tym nasza siła, że już pierwsze pokolenie działaczy ludowych stanęło twardo na gruncie szczerze narodowym. Że zaś następnie pokolenie to nie rozcieńczało swych prostych lecz twardych uczuć powodzią deklamacji patriotycznych, lecz sprzęgło się silnie z demokratycznym ruchem niepodległościowym, który głosił konieczność czynu zbrojnego — w tym tkwi najbogatsze źródło naszej siły i wielki tytuł do należnej roli w życiu niepodległej Polski.

Nie jest rzeczą zbędną przypominać o tym, co inni świadomie dzisiaj przemilczają, co naturalną koleją losu blednie już w świadomości młodego pokolenia ludowców.

W ostatnich latach pierwszej wojny światowej idea oporu przeciw okupantom (austriackiemu i pruskiemu) zapuściła mocne korzenie w ludowe szeregi organizacyjne. Tam też znalazła główne oparcie działalność niepodległościowej organizacji wojskowej (P. O. W.). I to właśnie wytworzyło odpowiednią atmosferę dla Rządu Ludowego w Lublinie w przełomowych dniach listopada 1918 r. Z chłopskich organizacji niepodległościowych powstały też kadry, zabezpieczające pierwsze kroki władz rządowych w niepodległej Polsce. Jakże konieczna to była praca, w momencie, gdy nieuznające niepodległości Polski niedobitki Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy odradzające się państwo polskie w zarodku usiłowały zniszczyć, a bojówki ugodowej endecji przygotowywały już zamach przeciw pierwszym władzom polskim!

Tego kapitału, nagromadzonego w walce niepodległościowej, i dzisiaj nam nie wolno się wyrzekać, chociaż został on sromotnie roztrwoniony i zmarnowany przez znaczną część uczestników tej walki, idących nadal wiernie za twórcą zamachu majowego.

Należy tu nadmienić, że trzeźwy osąd położenia narodu, jaki wykazali znowu ludowcy Małopolski w zgłoszonej przez nich, a uchwalonej na Kole Sejmowym w Krakowie w 1917 r., rezolucji o „niepodległej, zjednoczonej ze wszystkich ziem—z dostępem do morza Polsce“, był dowodem dojrzałej myśli politycznej w sprawach narodu.

Stąd wynika przejrzysty wniosek, że już na progu pierwszej niepodległości byliśmy silni poważnym wkładem w walkę o wolność i dojrzałą świadomością w sprawach narodowych.

*

Ludowcy b. Kongresówki zaraz w początkach swoje dążenia tak określali: 1) zdobywanie ziemi dla ludu, 2) ochrona pracy ludowej, 3) oświata i walka o jej wolność dla ludu, i wreszcie 4) zrzeszenie sił ludowych — to cztery węgły olbrzymiej budowy, a budową tą nasza Ojczyzna — Polska Ludowa.

W tęsknotach szeregów ludowych przyszła, wolna Polska rysowała się zawsze w kształtach Polski Ludowej. Że pierwsza Polska niepodległa już po kilku miesiącach okazała się daleka od tego ideału, w tym wina nie tylko wrogich ludowi sił wstecznych, lecz także przykre następstwo niedojrzałości i ustępliwości obozu polskiej demokracji. Ruch Ludowy musiał przejść własny czyściec „potenieńczych swarów“, musiał przebić się przez własne bezdroża, ażeby wytknąć przed sobą widną drogę odrodzenia i zjednoczenia, na której można już było rozpocząć **śmiały marsz ku Polsce Ludowej.**

Ten marsz, rozpoczęty po roku 1931, trwa nieprzerwanie aż do chwili obecnej.

Byłoby zbędną i szkodliwą skromnością nie wspominać o tym, że Ruch Ludowy w tym okresie wysunął się na czoło sił demokratycznych Polski. Bez względu na to, co inni o sobie mówią, będziemy twierdzili, że w walce z bezprawiem, gwałtem i uzurpatorską samowolą rządzących klik sanacyjnych chłopi zajęli czołowe pozycje. A przecież była to walka o kardynalne zasady Polski Ludowej: praworządność w państwie, pełne uprawnienia i swobody obywatelskie oraz przywrócenie prawa dla woli większości narodowej, zrabowanego przez dyktatorskie kliki. Nikt nas wtedy nie przekonał, że może istnieć jakiś inny porządek w państwie, który mimo gwałcenia tych zasad prawdziwie demokratycznym mógłby być nazwany. Demokracja „kierowana“ przez ówczesnych szefów ozonowych, która by powyższe zasady chciała łamać, prawdziwą demokracją nie nazwiemy.

Ci zaś, co rozpoczęli wówczas żmudne torowanie drogi ku Polsce Ludowej, są pośród nas, stanowią poważną część składową naszej siły głównej, która o porządku i budowie odrodzonej Polski zadecydować musi.

*

Znamienną cechą powojennych czasów jest sławienie oddanych w walce usług, a w następstwie zgłaszanie prawa do największych zasług. Jest to zjawisko naturalne i zrozumiałe, które nie budziłoby żadnych zastrzeżeń, gdyby nie tak dawne a jakże bolesne doświadczenia z okresu po pierwszej wojnie światowej.

Łatwe jest jednostronne weryfikowanie zasługi, gdy się posiada w ręku władzę. Gorzej, że również niedocenianie zasług drugiego jest powszechną ludzką wadą. A jakże w Polsce jesteśmy skłonni do jednostronnej oceny wartości i zasług ludzkich!

Do licytacji o zasługi nie powinniśmy i nie będziemy z pewnością stawali. Nie mamy potrzeby pomnażać naszego wkładu w polityczną i orężną walkę z niemieckim okupantem. Zdrowa opinia narodu bezstronnie uzna, że ani na chwilę nie zawahaliśmy się przystąpić do walki o przywrócenie niepodległości już w miesiącach jesiennych 1939 roku; że następnie chłopskie szeregi bojowe, zorganizowane w postaci Batalionów Chłopskich w 150-tysięczną siłę, były zarówno poważnym wkładem w walkę z niemieckim barbarzyństwem i gwałtem, jak i skutecznym sposobem mobilizacji sił chłopskich dla zdobycia mocnych fundamentów Polski Ludowej.

Bodaj że nigdy w szeregach ludowych nie było tak gorących i świadomych dążeń ku Polsce Ludowej, jak w latach konspiracji, kiedy kierunek Ruchowi Ludowemu w dużym stopniu nadawała organizacja bojowa.

Przedwojenne postanowienia kongresów ludowych, określane jeszcze w ogólnych zarysach, wtedy uwyraźniają się w jasny i obszerny plan gruntownej przebudowy społecznej w przyszłej Polsce. W oczach uczestników podziemnej walki zarysowuje się jasna wizja Polski Ludowej, realizującej w pełni ideały sprawiedliwości społecznej.

Dawne marzenia i „dumania" młodzieży „wiciowej" przybierają określone kształty w umysłach żołnierzy B. Ch. odrębnego chłopskiego spojrzenia na świat i życie ludzkie (o czym w następnym numerze).

Wtedy w szeregach tych, którzy na swych sztandarach wypisali kościuszkowskie hasło: „Ż y w i ą i b r o n i ą" — rośnie mocne poczucie i głębokie przeświadczenie, że chłopi i liczbą, i świadomością społeczną, i zdolnością bojową są — silni.



Włodzimierz Tetmajer

PIAST

FRANCISZEK MLECZKO

Ojcowizna a osadnictwo

Wszelka zmiana jednej formy życia w drugą, jednego stanu w drugi, tak w znaczeniu mechanicznym jak i psychicznym—połączona jest z mozołem, a często z cierpieniem. W procesie zmian i przemian zawarty jest pierwiastek śmierci i narodzin, smutku i radości, klęski i zwycięstwa: żadnej zmiany, na gorsze czy na lepsze, nie przechodzimy obojętnie, każda wymaga pewnego zapasu energii, pewnego wysiłku. Wszelka zmiana wymierzona jest w dotychczasowe przyzwyczajenie. które jest jakby gniazdem czy kryjówką, zabezpieczającą nas ze strony niespodzianek zewnętrznych. Wyjście na świat oznacza nową walkę z otoczeniem, nową pracę, ale i — nową zdobycz. Więc walka z niechęcią do zmian, walka z przyzwyczajeniem, jak ze snem, który nas wciąż ogarnia, oznacza walkę z lenistwem ciała i ducha, jest pionierską wyprawą zdobyczną.

Toteż Juliusz Słowacki, wykazujący istnienie w świecie „wiecznego ducha-rewolucjonisty", który nieraz piorunami i kataklizmami, cierpieniem i krwią pobudza świat i ludzi do rozwoju, nazywa lenistwo największym grzechem człowieka, jak później Stefan Żeromski uzna zą największy grzech nasz — „krzywdę wyrządzoną drugiemu".

Ale wieczysta zmiana, nieustanna jakaś rewolucja form życia byłaby nie do zniesienia. Równoważy ją trwanie, odpocznienie, równowaga, dająca poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Nie może być inaczej, takie jest prawo natury. Zmiana, chroniąca przed zastojem i zmurszałością, musi z kolei ustępować znieruchomieniu, bez którego nie ma wzrostu, a bez wzrostu — życia.

Cofając się myślą w historię świata łatwo dostrzeżemy falowanie procesów zmian i spokoju, potrzebnego do ustalenia się nowych kształtów. W jednej epoce kontynenty są widownią wędrówek ludów, wojen, przewrotów, to znów na wiele lat nataje spokój i praca budująca, dopóki ta lub inna nierówność między narodami nie zwichnie dotychczasowej równowagi. Czy powrót do normy, koniecznej, aby narody mogły rozwijać się spokojnie i dorabiać, wymaga koniecznie wojny jako środka usuwającego nierówności w świecie — to inne pytanie. Faktem jest, że są one motorem zmian i przekształceń, na równi z krwawymi przewrotami.

Podobnie jest i u człowieka jako jednostki. I on przeżywa okresy zastoju, wstrząsów i zmian. Dzieje się to na progu przechodzenia jednego okresu wieku w drugi, podczas starć z innymi ludźmi albo kiedy toczy on walkę z samym sobą.

Tak trudno orzec, który z tych dwóch stanów należy wyżej stawiać, który z nich ma wyższe znaczenie dla życia. W przyrodzie jest miejsce na jeden i drugi — snać oba są niezbędne w świecie, oba mają głębokie uzasadnienie biologiczne: stan dynamiczny i statyczny.

Jak wszelka zmiana i przemiana, tak i zmiana miejsca, do którego przywykliśmy od dziecka, nie dzieje się w sposób obojętny. Jeśli jest nieznośne, jeśli nie zdołało związać nas ze sobą uczuciowo, porzucamy je w nadziei znalezienia przyjemniejszego; ale jeśli wrośliśmy w nie wszystkimi uczuciami — rozstanie jest trudne. Toteż dla błachej przyczyny prędko z miejsca na miejsce nie ruszamy.

I takie to proste, że najgłębiej wiąże się z miejscem, z ziemią ten, kto z ziemią wiąże wszystkie swe nadzieje, kto ją swym potem skrapia, dla kogo jest ona warsztatem umiłowanej pracy. Bo oracz-chłop to nie pasterz koczujący ze swym stadem, ani dawny tatarzyn z łupu żyjący, ani handlarz goniący po świecie za zyskiem, ani wreszcie cygan, co „przychodzi z obcych krajów"... Chłop zrasta się z kawałkiem swojej ziemi w jedną całość — fizycznie i duchowo. Ojcowizna staje się dla niego również i pierwsza ojczyzna, przez którą dochodzi do Ojczyzny-Polski. W swoją ziemię zapuszcza korzenie niesłabsze niż dąb, trudno je wyrwać i na inny teren przesadzać. A kiedy się to zdarza, pierwsze pokolenie chorzeje do końca swego życia. Emigranci chłopscy do Stanów Zjednoczonych, do Brazylii czy choćby tylko do Francji — tęsknią, chorują na nostalgię. Ba! nawet wewnętrznej migracji chłopa towarzyszy ta sama tęsknota za najbliższą okolicą rodzinną. Swego czasu osiedlono większą grupę górali podhalańskich w rejonie Zaleszczyk: ani wspaniała gleba, ani klimat, ani przepiękna również, choć odmienna od Podhala, kraina nie zdołała powstrzymać uciekających wciąż myśli ku Tatrom. Łowiczanom, których los w czasie okupacji zagnał aż w tereny podkarpackie, nie odpowiadał tamtejszy krajobraz wzgórz i dolin. Narzekali w dolinach na brak... powietrza, pobliskie zaś wzniesienia, zamykające horyzont, sprawiały na nich wrażenie ścian klatki odgradzającej ich od świata.

A przecież kiedyś pradziad nasz rozprzestrzeniał się od krainy do krainy. Szedł na północ ku morzu, na zachód nad Łabę, w ostępy Podkarpacia, w puszcze Sandomierską i Augustowską — z dobrawoli, samorzutnie, tak jak wywodzące się z gniazda rodzinnego ptactwo szuka dla siebie nowych siedzib. Idą nieraz w odległe strony młodzi — dziewczyna, chłopak — dokąd prowadzi ich głos serca, zapominając o swoich, przyzwyczajając się szybko do nowej okolicy i nowego zwyczaju.

Ruch osadniczy istniał zawsze, lecz był ruchem dobrowolnym i stopniowym. Nigdy nie był masowy, spowodowany przesunięciami granic państwowych, jak to zaczęło się po tamtej wojnie u Greków i Turków, obecnie zaś pomiędzy Polską a Rosją Sowiecką.

Oczywiście, akcja przesiedleńcza nie jest uczuciowo bezbolesna. Znacznie głębiej od mężczyzn odczuwają przesiedlenie kobiety, z natury wielce konserwatywne i jeszcze bardziej wierne swojej ojcowiźnie. Nic tu nie pomaga przekonywanie o zachodnich wsiach — murowanych, zelektryfikowanych, połączonych siecią dobrych dróg... „*Ale taka pszenica na zachodzie nigdy nam się nie urodzi*“ — ze łzami któraś odpowiada. Wiadomo. Nie tylko o pszenicę chodzi. Na cmentarzu pozostali samotni ojcowie i dziadkowie, swój sad, swoja ziemia i swoje niebo. To wszystko pojęte po chłopsku, szczerze, zwyczajnie, dlatego tak trudno tu zerwać więź uczuciową z dawnością.

To boli. Jak każda zmiana, która musi nastąpić, która jest czymś więcej niż wyrywaniem kołków namiotu na pustyni.

Ale repatrianci jadą na zachód, nad Nissę i i Odrę! Na ziemie, które są w tej chwili polskim „*być albo nie być*“. Zajęcie ich miejsce w miejsce przez element polski postawi przed faktem dokonanym mocarstwa zawierające przyszły pokój. Stajemy w ten sposób przed problemem istotnego poszerzenia terenów polskich, z których musieliśmy ustępować pod naporem Germanów, chciwych nowych ziem i nowych siedzib. A więc, tu nie idzie tylko o ulokowanie repatriantów. Zaczął się proces odwrotny — Słowianie cofają falę germańską wstecz, w dawne jej łożysko, Polsce przypada z prawa i historii rewindykacja zachodnich swych ziem.

A w Polsce — misja ta z natury rzeczy powierzona zostaje przede wszystkim chłopom. Są wsie, z których już po osiemdziesiąt rodzin udało się na Ziemie Zachodnie. Idą gromadnie. Żeni się młodzież i wyjeżdża na nowy teren, by tam zagnieździć się na stałe, by tam powiększyć Polskę o nowe gospodarstwo polskie. Bo Ojczyzna to ziemia i — chłop do niej przywiązany.

I to samo, co sprawia ból, co przeszkadza w wyruszeniu z dawnych siedzib na nowe: uczuciowe wrośnięcie w ojcowiznę, to samo wróży jak najlepszą nadzieję na przyszłość. To prawda, że kobieta nie pozwoliła często swemu chłopu sprzedać odziedziczonego gospodarstwa i zamienić go na drugie... kilkanaście kilometrów oddalone od wsi rodzinnej. Znane są takie fakty. To prawda także — nie Ślimak z „*Placówki*“, lecz jego „baba“, Jagna, oparła się ostatecznie naporowi Niemców, grożąc najstraszliwszym dla religijnego chłopa przekleństwem, jeżeli ziemie sprzeda. Bo Ślimak, zmożony nieszczęściami, skłonny już był do ugody...

Ta właśnie „baba“ wiejska idzie ze swoim chłopem i dziećmi na zachód. Idzie po to, by tam znaleźć nową ojcowiznę, by wróść w nią tak, jak to ona tylko potrafi: najwierniejszym i najnieustępliwszym sercem.

Nasuwa się w końcu inna jeszcze uwaga. Przywiązanie do miejsca rodzinnego, tak znamienne dla zawodu rolniczego i tyle dodatnich cech wykazujące, posiada również swoją ujemną stronę. Warto ją sobie uświadomić.

Co innego przywiązanie, co innego zaś zasiedziałość, pełna lęku przed nowością i obcą stroną. Parafia, miasto jarmarczne i miejsca odpustowe to za mało, by poznać świat i ludzi, by się ze światem otrzaskać. W tym zamkniętym kręgu poruszeń chłopa wybitny wyłom zrobiła działalność polityczna na wsi, niemal zaś równocześnie z nią akcja odbytych pielgrzymek i później — wycieczek. Nie przypadek to, że narody „morskie“ są równocześnie narodami wielkich odkrywców i kolonizatorów. Morze, którym puszczały się w dalekie strony, wyrobiło w nich zmysł osiedleńczy. To nie znaczy, że np. starożytny Grek czy nowożytny Hiszpan, Francuz lub Anglik z lekkim sercem opuszczali macierzysty kraj, aby osiadać na odległych zamorskich terenach: osiedlając się daleko od metropolii świadomi byli tego, że rozszerzają granice swojej ojczyzny, o której pamięć nigdy w nich nie ginęła. Tak postępują narody dynamiczne, prężne, odważne i ruchliwe. Nie darmo zawrotnie szybki rozwój Stanów Zjednoczonych A. P. przypisują tężyźnie pierwszych osadników, którzy mężnie, na przekór wszelkim niebezpieczeństwom i trudom jechali ze Starego Świata za morza.

Droga i błogosławiona jest pamięć ojcowizny, ale nie wolno zacieśniać pojęcia kraju do opłotków rodzinnej wsi. *Polska jest tam, gdzie są Polacy, a ziemia polska tam, gdzie ją polski chłop uprawia.* Teren, który czeka na skolonizowanie i zagospodarowanie, stanie się dumą przyszłej Polski, pod warunkiem że murem obsadzimy go w najbliższym czasie — bez wahań i lękliwych rozważań. Szukaliśmy dawniej puszcz brazylijskich czy preryj Argentyny, w rzeźniach Chicago i hutach pracowali nasi emigranci tak ciężko, jak tylko murzyni to potrafili jeszcze, nie lżejsza też praca była naszych robotników w kopalniach Francji czy Westfalii — dzisiaj w zasięgu naszych ramion Wrocławskie, Szczecińskie, Gdańskie czy Olsztyńskie!

Tak jest. Ciężko decydować się na wyruszenie z miejsca. Nawyk zasiedziałości zakaził nam krew. Czeka nas wysiłek: najpierw psychiczny, później mięśniowy. Aby to wszystko stało się, trzeba silnej woli — dla przełamania zastoju, dla ruszenia z miejsca, dla przełamania „największego grzechu ludzkiego“: lenistwa przed trudem i lenistwa przed cierpieniem, związanym z każdą zmianą.

Idziem do Ciebie, Ziemio, Matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do Ciebie rzesza Twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny.
Niechaj nas dola jak paździerz rozprasza —
Krzykniesz, wnet Twoje zbiorą się drużyny,
Przez imię Twoje i na Twe wołanie
Lud wierny Tobie u boku Ci stanie...

MARIA KONOPNICKA.

JÓZEF KRZYCZKOWSKI

Ziemie odzyskane a struktura gospodarcza Polski

Żyjemy w czasach, gdy napięcie spraw politycznych całkowicie dominuje nad całym naszym życiem w Polsce. Suwerenność państwa, jego ustrój polityczny, wolności obywatelskie zaprzątają uwagę większości ludzi znacznie silniej, niż cokolwiek innego. Nawet sprawa poprawy bytu materialnego, jakżeż dziś nędznego, zdaje się u wielu zajmować poślednie miejsce w porównaniu z zagadnieniami politycznymi.

Nie mamy zamiaru twierdzić, iż kwestie polityczne powinny zejść na plan drugi. Choćby tylko to, iż obserwacja dwudziestoletniego naszego okresu przed wojną nauczyła nas, że nie da się rozwiązać wielu spraw gospodarczych bez właściwego postawienia kwestii politycznych, skłania do przywiązywania do spraw politycznych wielkiej wagi. Dzisiejsze czasy mogą tylko wzmocnić owo przeświadczenie. Lecz wypada z tą samą siłą rzucić twierdzenie, że na dłuższą zwłaszcza metę nie jeden problem gospodarczy, w pierwszym rzędzie z odcinka strukturalnego, wpływa w sposób decydujący na przebieg procesów politycznych.

Chodzi tu nam, rzez prosta, i o sprawy charakteru wewnętrzno-politycznego, jak i zewnętrznego. Struktura gospodarcza kraju w sposób decydujący wpływa na strukturę społeczną, a w konsekwencji na rodzenie się, czy zanikanie konfliktów społecznych i politycznych. Ale ta sama struktura gospodarcza wpływa w niemniejszym stopniu na siłę państwa, na jego zdolność prowadzenia samodzielnej polityki w oparciu o swe własne zasoby, możliwości, zdolności produkcyjne, a wreszcie zwartość społeczeństwa. Myliłby się ten, kto by sądził, iż będąc krajem biednym, o słabych widokach rozwoju, można myśleć o trwałej niezawisłości. Prędzej czy później przyjść musi moment, w którym trzeba uzależnić się gospodarczo w sposób bardzo silny od innych, bogatszych, którzy mają dość, by swe potrzeby zaspokoić i innym pożyczyć. Większość pomocy zagranicznych, jakie znamy, to fakty, niosące za sobą żądania nie tylko koncesji natury gospodarczej, ale i politycznej. Tylko w wypadku, gdy udzielającym pomocy bardzo zależy na wzmocnieniu siły tego, któremu pomocy tej udzielają, może być mowa o braku uzależnienia politycznego.

Dobrze jest wciąż pamiętać o okresie minionego dwudziestolecia pokojowej naszej pracy. Pomoce zagraniczne, jakie otrzymywaliśmy, były śmiesznie małe, a nasze wewnętrzne możliwości rozwoju wyraźnie nędzne. Jak wiemy, nawet w obliczu zbliżającej się wojny z Niemcami stosunek świata zachodniego nie zmienił się do nas. To, co nam dano, poza, rzecz prosta, dobrymi radami i pięknymi słówkami, które wypowiedziano w dużej obfitości, nie stanowiło rzeczy poważnej.

Nie piszemy tego, aby dąsać się na kogokolwiek — to po prostu chodzi o patrzenie prawdzie w oczy i nie powtarzanie błędów, wynikających ze stosowanej wciąż w Polsce metody „czarowania się", oszukiwania siebie przez fantazjowanie. Dzisiaj bez trudu da się spostrzec, jak wielu ludzi stosuje metodę tzw. życzeniowego rozumowania, to znaczy rozumowania w oparciu tylko o te przesłanki, które są nam miłe i które pozwalają udowodnić, że to, co się chce, napewno nastąpi. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, tego typu rozumowanie jest niebezpieczne, zwłaszcza że opętani chorobą znajdują się po obu stronach barykady.

*

Jeśli chodzi o czasy przedwojenne, to świat zachodni, i to zarówno Niemcy jak i ich naturalni przeciwnicy, traktowali nas jako organizm słaby, bez większych wartości na wypadek wojny. Oceniano, iż poza pokaźną liczbą ludności i jej bitnością nie mamy nic poważniejszego, co by wpływało na siłę militarną. Pod względem gospodarczym traktowano nas jak chuchro, które nie wytrzyma pierwszego lepszego uderzenia. Niemców interesowaliśmy tylko jako pokaźny rezerwuar siły ludzkiej, dlatego też byliśmy świadkami zabiegów pozyskiwania nas już przed 1939 r. do rozgrywki z Rosją. Anglię i Francję obchodziło to, czy w razie potrzeby zaczniemy z Niemcami wojnę, czy też im ulegniemy. Ale gdy przekonano się, że jesteśmy pewnym pod tym względem składnikiem gry, nie uczyniono nic, aby nas materialnie wzmocnić, bo zdawano sobie sprawę, że uderzenie niemieckie i tak nas zdruzgoce, więc szkoda marnować środków. Ostatnia wizyta przed wojną reprezentantów sztabu angielskiego była zupełnie wyraźnym dowodem, iż oceniają naszą sytuację militarną jako beznadziejną. O tym chyba wszyscy na świecie wiedzieli... z wyjątkiem nas, Polaków, którym ówczesny rząd i ówczesne dowództwo wojskowe, bez szczególnego zresztą trudu, wmówiło, że jesteśmy nie byle jakim mocarstwem i potęgą militarną.

W najwyższym stopniu karygodne zatajanie istotnej naszej siły militarnej przez ówczesne władze, zwłaszcza wojskowe, w parze z życzeniowym rozumowaniem większości społeczeństwa doprowadziło do niczym nieuzasadnionej wiary w moż-

liwości sprostania potrzebie wojennej, a gdy przyszedł cios — do zupełnego, choć krótkotrwałego załamania się, jakby ogłuszenia niespodziewaną klęską.

Dzisiaj musimy sobie wyraźnie powiedzieć, iż kraj nasz, kraj oparty gospodarczo w przeważającej mierze o słabe, a często nędzne, karłowate warsztata produkcyjne, zarówno w przemyśle, rzemiośle jak i rolnictwie, nie stanowił — bo nie mógł stanowić — przeciwwagi potężnym materialnie Niemcom.

*

W granicach z 1939 r. byliśmy państwem pod względem ilości obywateli stosunkowo dużym, gdy jednak rozpatrywało się nasze siły gospodarcze, zarówno jako wartości same w sobie czy w stosunku do liczebności ludności, obraz przedstawiał się zgoła niewesoło.

Weźmy rzecz od strony najbardziej charakterystycznej: strukturę warsztatów pracy i dochód społeczny.

W przemyśle przetwórczym zakłady do 4 robotników wynosiły 27 proc., gdy do 15 robotników stanowiły 66 proc., a do 50 — 90 proc. wszystkich zakładów. W rolnictwie około 65 proc. stanowiły gospodarstwa do 5 ha, a więc nieżywotne, słabe, a często karłowate jednostki wytwórcze. W handlu jeden sklep przypadał na 71 mieszkańców. Gdy doda się, że wszystkie te warsztaty pracy były słabe, a w licznych przypadkach wręcz źle zaopatrzone w kapitał obrotowy, widzimy, jaką siłę gospodarczą stanowiliśmy. Nasza poważna produkcja górnicza, oparta o stosunkowo nowoczesne i silne warsztaty pracy, nie mogła zmienić ogólnego ponurego obrazu rzeczywistości.

Na tym tle łatwo zrozumieć, że nasz dochód społeczny był niski. Wartość produkcji rolniczej, górniczej i przemysłowej wynosiła u nas 610 zł, na głowę ludności, gdy w Stanach Zjednoczonych 3710 zł., w Anglii 1777 zł., w Niemczech 1760 zł., na Węgrzech 830 zł., we Włoszech 880 zł. Byliśmy pod tym względem na poziomie Rumunii, której, jak wiadomo, nie stać było przed wojną na normalne obuwie dla wojska, nie mówiąc już o uzbrojeniu nowoczesnym.

Z chwilą więc, gdy wkraczamy w nowy okres naszego życia, trzeba koniecznie spojrzeć wstecz i właściwie ocenić istniejące wpierw warunki bytu i rozwoju. A obok tego zestawić to, co jest, i to, co może i musi być, byśmy stali się siłą prawdziwą, a nie urojoną, w stosunkach światowych.

*

Utrata ziem na wschodzie i odzyskanie niegdyś do nas należących obszarów na zachodzie, po Odrę i Nissę Łużycką, stworzyły dla nasz sytuację zgoła nową, nie przypominającą czasów przedwojennych. Posiadamy dziś 313 tys. km.^{2}, a więc około 20 proc. mniej niż przed wojną. Ziemie odzyskane wynoszą 104 tys. km.^{2}. Ludność nasza po dokonaniu repatriacji stanowić będzie około 23.5 miliona. Przestaniemy być państwem, posiadającym znaczniejszy odsetek ludności obcoplemiennej, przytłaczającą większość obywateli Rzeczypospolitej stanowić będą Polacy.

Rodzi się więc pierwszy wniosek, iż *jeśli potrafimy rozładować istniejące antagonizmy w naszym własnym narodzie, możemy się spodziewać braku rozsadzających nas sił odśrodkowych,* sił, które przed wojną uniemożliwiały nam liczenie na wszystkich obywateli.

Spośród ogółu ludności przypadać będzie zapewne nie mniej niż 17 milionów na mieszkańców wsi i około 6.5 miliona ludności miejskiej. Skoro zważy się, że spośród mieszkańców wsi nie mniej niż 87 proc. stanowić będą rolnicy i ich rodziny, trzeba stwierdzić, że *nadal będziemy krajem o olbrzymiej przewadze nie tylko ludności wiejskiej, ale i rolniczej.* Taki jest i będzie stan wyjściowy.

Jeżeli wyodrębni się z dzisiejszego obszaru Rzeczypospolitej tylko ziemie dawne, to na ogólną liczbę 18.6 milionów mieszkańców wsiowi stanowią 13.1 milionów, a ludność miejska 5.5 miliona. Te właśnie liczby najjaskrawiej wskazują, czym teraz pod względem społeczno-zawodowym jesteśmy.

Gęstość zaludnienia w stosunku do posiadanego obszaru wyniesie po zakończeniu procesów imigracyjnych 75 mieszkańców na 1 km.^{2}. W porównaniu z 90 mieszkańcami na 1 km.^{2} przed wojną jest to poważne rozluźnienie, a co za tym idzie — spadek przeludnienia, lecz nie jest to znowu coś wyjątkowego, gdy zważy się, iż w 1921 r. mieliśmy tę samą gęstość zaludnienia, a przeludnienie było już wtedy niemałe.

*

Obliczenie naszej dzisiejszej siły gospodarczej i najbliższych w związku z tym możliwości rozwojowych natrafia na bardzo poważne trudności. Jeszcze dobrze nie wiemy, co mamy na dawnych ziemiach, nie mówiąc już o odzyskanych, co do których informacje są tak rozbieżne, iż trudno orzec, co jest prawdą. Wiemy tylko, że przed wojną wartość produkcji przemysłowej na ziemiach odzyskanych stanowiła tyleż niemal, co w dawnej Polsce, oraz iż w czasie wojny Niemcy bardzo silnie wzmogli na tym terenie swą produkcję. Nie wiemy natomiast, co pochłonęła pożoga wojenna i ile warsztatów zostało zdemolowanych i wywiezionych. Nie są to napewno liczby małe, lecz należy uznać, że pozostałe warsztaty produkcji przemysłowej stanowią zapewne nie mniej, niż to, co uratowane zostało od zniszczeń na ziemiach dawnych.

Liczby ściślejsze dotyczą tylko rolnictwa i górnictwa. Wiadomo więc napewno, iż użytki rolne na ziemiach odzyskanych wynoszą 6.5 mil. ha, na ogólną liczbę 21.2 ha użytków rolnych w Polsce. Lasy, wynoszące teraz ogółem przeszło 7 mil. ha, na ziemiach odzyskanych przekraczają 2.8 mil. ha

Największe zdobycze mamy w górnictwie. Odzyskanie Śląska Opolskiego i Dolnego zwiększyło naszą zdolność wydobycia o 82 proc. Jeżeli dojdziemy do poziomu produkcji przedwojennej, co nie będzie zbyt trudne wobec małych stosunkowo strat wojennych, staniemy się drugim z kolei producentem węgla w Europie. Przywiązywać do tego trzeba wielką wagę, bo węgiel, to główna podstawa rozwoju przemysłowego.

*

Liczby, które można uznać za pewne, nie pozwalają jednak na ściślejsze określenie, czym jesteśmy, musimy więc do tego zagadnienia podejść z innej strony. Mówić będziemy o kwestii struktury zawodowej ludności, bo ta bowiem w pierwszym okresie decydować będzie o naszej gospodarczej sile.

Wspominaliśmy, iż ludność wiejska, a w niej rolnicza, stanowi nadal znaczną większość naszego społeczeństwa. Możemy uznać, iż przygotowanych do rolnictwa wraz z ich rodzinami mamy około 15 mil. ludzi. Poza tym z pozostałej ludności wiejskiej większość to ci, którzy nie mają wyraźnego fachu i bez przeszkolenia nie na wiele przydadzą się w przemyśle, czy innych zawodach pozarolniczych.

Gdybyśmy chcieli uzyskać rzeczywiście zdrową strukturę rolną, opartą o silne, żywotne, zdolne do postępu gospodarstwa chłopskie, powinniśmy pozostawić w rolnictwie nie więcej niż 11 mil. ludzi, a biorąc łącznie z zawodami usługowymi wiejskimi, zaspakajającymi bezpośrednio potrzeby warsztatów rolnych i rolników, około 12 mil. osób. Musimy więc liczyć się z poważnym nadmiarem rąk ludzkich w rolnictwie, nawet po zagospodawaniu wszystkich użytków rolnych na dawnych i odzyskanych ziemiach. Dzisiaj nadmiar jest znacznie większy, bo przecież znaczna liczba ziemi, zwłaszcza na obszarach odzyskanych, wciąż jeszcze nie jest objęta i uprawiona. Nie mało też użytków stoi odłogiem i na wschodzie, gdzie bandy ukraińskie nie dają nam osiedlić się, paląc, rabując i mordując ludność polską, która chce zacząć normalne życie.

Rzecz prosta, że zgoła odmiennie przedstawia się sprawa ludności pozostałych zawodów, a w szczególności przemysłowej. Tutaj mamy do czynienia z wyraźnym brakiem wykwalifikowanych rąk do pracy. I tu natrafiamy na największy problem naszych czasów: *mamy dość ludzi, by obsadzić istniejące warsztaty pracy jak również te, które dadzą się odbudować, lecz znaczna liczba ludzi nie znajduje, a co gorsza rychło nie znajdzie, właściwego zatrudnienia, dopóki nie zdobędzie wiedzy fachowej w zawodach, które cierpią lub wnet cierpieć będą na brak rąk do pracy.*

Z grubsza biorąc, gdyby nie owa konieczność zdobycia kwalifikacji, dość szybko bylibyśmy w stanie zlikwidować problem przeludnienia rolnictwa.

Oczywista, o pełnym zatrudnieniu może być mowa tylko wtedy, gdy całkowicie obsadzimy i zagospodarujemy ziemie odzyskane. Bez owych ziem lub bez pełnego ich wykorzystania — przyszłość nasza przedstawiałaby się ponuro. Przeludnienie we wszystkich niemal zawodach byłoby nadal, jak przed wojną, straszliwym ciężarem, nie pozwalającym złapać tchu i szybciej kroczyć po drodze rozwoju. Bo co tu mówić o postępie, rozwoju, gdy większość ludzi pracuje w warsztatach słabych, a nawet karłowatych, a niejeden w ogóle pracy nie ma.

Ten, kto zdaje sobie sprawę, co oznacza zła struktura gospodarcza, struktura cierpiąca na słabiżnę i karłowaciznę warsztatów pracy, ten musi bacznym okiem patrzeć na to, co się dzieje na ziemiach odzyskanych, bo *tylko pełne zagospodarowanie tych ziem pozwala na uzdrowienie naszego życia gospodarczego.* Gdybyśmy w owych latach pokojowej pracy znowu gospodarzyli na podobnych do przedwojennych warunkach, to pewna jest, że bylibyśmy nadal słabi gospodarczo.

Ale podobny wniosek nasuwa się, gdybyśmy założyli, że zbyt długo odraczać będziemy moment uruchomienia wszystkich warsztatów pracy, już gotowych do produkcji lub mogących być przystosowanymi do twórczych wysiłków.

*

W dzisiejszym dniu czeka na ziemiach odzyskanych 80 — 100 tysięcy chłopskich gospodarstw i około 2 mil ha użytków rolnych w folwarkach. Owę chłopskie gospodarstwa obsadzić mają repatrianci ze wschodu. Lecz na zagospodarowanie ziemi folwarcznej brak było do niedawna kandydatów, bo nikt za fornala iść tam nie zamierzał, a innej drogi nie wskazywano. Wieś ziem odzyskanych czeka na około 1.5 mil ludzi, wtedy dopiero może zakwitnąć tam życie. Chłonność innych zawodów jest tam jeszcze większa.

Aby zadaniu sprostać, trzeba zespolić wysiłki władz rządowych i społeczności. Społeczność nasza musi dać chętnych do pracy ludzi, a władze środki materialne i możliwość kształcenia się tym, którzy chcą przejść do zawodów, w których już jest lub jutro będzie brak rąk do pracy.

Trudno orzec, iż to, co dotychczas uczyniono, jest bez błędów. Chaos, brak wyraźnego systemu organizacyjnego, planowości i wydatnej pomocy ze strony władz rządowych niemało przyczyniły się do opóźnienia osadnictwa na ziemiach odzyskanych. Społeczność nasza niedostatecznie oceniła możliwości, jakie dają owe ziemie, i zbyt lękliwie podchodziła do akcji osiedleńczej. Wielu bało się ryzyka nawet wtedy, gdy było ono już niewielkie. Pierwsze miesiące zeszłego roku zmroziły nawet najodważniejszych, potem, gdy stosunki zmieniły się na lepsze, wciąż straszono zdarzeniami z owych pierwszych miesięcy akcji osadniczej. Wielu wciąż

sądziło, że lepiej poczekać z przeniesieniem się na zachód aż do czasu zawarcia pokoju i ostatecznego ustalenia granicy. A są i tacy, którzy w ogóle małą wiarę mają, iżby owa granica z Niemcami dłużej utrzymała się. Boją się ryzyka przebywania na tamtych ziemiach na wypadek pożogi wojennej.

To ostatnie jest najgroźniejsze, bo świadczy, że są wśród nas tacy, którzy sądzą, że na wypadek wtargnięcia Niemców na nasze ziemie, może gdzieś być bezpieczniej, albo, iż uda się Niemców udobruchać rezygnując z części tego, co odzyskaliśmy. Jedno i drugie jest naiwnością. Tylko siła nasza własna, siła nasza wsparta mocą bliskich, potężnych, zaprzyjaźnionych sąsiedzkich wojsk może nam zabezpieczyć spokojne jutro.

Na to, by własną siłę budować, trzeba mieć zdrową strukturę gospodarczą, warsztaty pracy, w których zdolność ludzkiego działania w pełni znajdzie twórcze zużytkowanie. Inaczej będziemy wciąż pod wpływem fantazjowania, nierealnego myślenia, na manowcach myśli.

*

Jeśli chodzi o chłopów, to musimy wyraźnie stwierdzić, iż polepszenia stosunków materialnych, uzdrowienia struktury rolnej ziem dawnych, likwidacji istniejącego ciężkiego przeludnienia, spodziewać się można tylko poprzez zaludnienie ziem odzyskanych i przerzucenie nadmiaru ludności rolniczej do innych zawodów.

Myśli o przejściu do innych zawodów znajdowały szeroki oddźwięk przed wojną na wsi. Nie było jednak ku temu warunków — gdzie było iść?

Dzisiaj jest albo rychło będzie inaczej. Ową zmianę dają przede wszystkim ziemie odzyskane — dają one jeszcze teraz wolne miejsce poza repatriantami dla jednego miliona rolników ze starych ziem oraz wielkie możliwości zatrudnienia w innych zawodach. Jeżeli chodzi o przejście do rolnictwa ziem odzyskanych, najważniejszą rzeczą ze strony społeczeństwa jest powzięcie samej decyzji i postawienie pierwszych kroków, trudniej jest z przejściem do innych zawodów — w wielu wypadkach potrzebny jest dłuższy na to czas, znaczne środki i sieć nauczania, które dać musi państwo. Droga, którą wskazujemy, jest jedyną, jaką mamy, jeżeli chcemy z ołówkiem w ręku kształtować naszą rzeczywistość. Mówić o sile, chcieć mieć rzeczywistą niezależność bez wielkiego wysiłku w zakresie stworzenia zdrowej podstawy dla twórczości gospodarczej, może tylko człowiek, który lubi „chodzić po chmurach". Na dłuższą metę niezawisłość polityczna może istnieć tylko tam, gdzie są ku temu dostateczne podstawy, w tężyźnie i sile gospodarczej, inaczej mówiąc — w zdrowej strukturze gospodarczej, bez której ani tężyzny, ani siły być nie może.

Czas więc, by na ziemie odzyskane wszyscy popatrzyli z tego właśnie punktu widzenia.



Stanisław Ostoja-Chrostowski

DRZEWORYT

W. K.

Polska a Zachód

Po artykule Prezesa Mikołajczyka, który w poprzednim numerze „C h ł o p s k i e g o Ś w i a t a“ sformułował ponownie stanowisko w odniesieniu do stosunków polsko-radzieckich, niniejszy artykuł ma za zadanie omówienie naszego stosunku do Zachodu. Oba te zagadnienia są ściśle ze sobą związane i trudno ich współzależności nie dostrzec, gdy uprzytomnimy sobie interesy, którym nasza polityka zagraniczna winna służyć.

Powszechnie dziś uznawaną — nieomal że komunałem — jest zasada, że polityka Państwa Polskiego musi w pierwszym rzędzie służyć interesom narodu. Zbytecznym jest przy tym nakreślanie tej zasadzie granic, poza którymi rozpoczynałby się już konflikt z interesami innych narodów i społeczeństw, z interesem ludzkości, gdyż nie widzimy w ogóle możliwości takiego konfliktu.

Nie chcemy i nie możemy bogacić się grabieżą, rabunkiem i łupiestwem; nie chcemy tuczyć się wyzyskiem innych. Ale nie chcemy także sami być łupieni i wyzyskiwani. Krótko mówiąc, chcemy prawa i sprawiedliwości uważając, że w ich ramach dobrze pojęty interes każdego narodu, a więc także i naszego, znaleźć może i musi słuszne uwzględnienie i warunki trwałego rozwoju.

Interes narodu polskiego wymaga w dziedzinie polityki zabezpieczenia poszanowania prawa i ugruntowania powszechnego pokoju, a w dziedzinie gospodarczej stworzenia takich warunków, które umożliwią w bliskiej przyszłości usunięcie zniszczeń wojennych i skutków długoletnich zaniedbań, a na długą metę zapewnią możność stałego dalszego r[illegible]ju kulturalnego, społecznego i gospodarczego.

W realizowaniu tych najbardziej ogólnie tylko ujętych zasad musimy dążyć do wykorzystania wszelkich stojących nam do dyspozycji środków i dróg.

Toteż, dążąc wprawdzie szczególnie usilnie do zabezpieczenia pokoju przede wszystkim w tej części Europy, którą sami zamieszkujemy, dążąc wraz z innymi państwami słowiańskimi i w oparciu o sojusz ze Związkiem Radzieckim do udaremnienia wszelkiej przyszłej agresji niemieckiej przede wszystkim w kierunku wschodu, zawsze najbardziej poszkodowanego i najbardziej niszczonego — nie zamierzamy w żadnej mierze rezygnować z wysiłków w kierunku utrwalenia, pogłębienia i poszerzenia naszych więzów, łączących nas oddawna z demokratycznymi państwami Zachodu.

Stąd szczególne nadzieje, jakie nasz ruch wiązał w przeszłości z Ligą Narodów, zwłaszcza w pierwszych początkach jej istnienia i po wstąpieniu do niej Związku Radzieckiego, stąd znaczenie, jakie przypisujemy konieczności zachowania jedności wielkich mocarstw, stąd waga, jaką przywiązujemy do Organizacji Narodów Zjednoczonych, stąd pozytywny zawsze stosunek do Francji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i do innych państw demokratycznych Zachodu.

Jesteśmy szczególnie zainteresowani w tym, ażeby groźbę konfliktu, groźbę nowej agresji niemieckiej — zawsze ze szczególną furią przeciw nam się obracającej — utrzymać jak najdalej od naszych przede wszystkim terenów, ale wiemy także, że trwały i prawdziwy pokój musi być pokojem powszechnym, integralnym, i że celem pełnego skrępowania militarystycznej bestii niemieckiej potrzebne jest — jak to podkreślił Generalissimus Stalin — uzupełnienie sojuszu polsko-radzieckiego sojuszami z Francją i Wielką Brytanią.

Sojusze te istnieją i od pełnej uczciwej ich realizacji w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych w dużej mierze zależeć będzie pełne zabezpieczenie wszystkich owoców tak drogo okupionego zwycięstwa nad Niemcami.

Stosunki nasze z Francją datują się od dawnych bardzo czasów, i przyjaźń narodów polskiego i francuskiego stała się już pewnego rodzaju tradycją. Prawda, że nie zawsze rządy obu państw dorastały w poczynaniach swoich do poziomu tej tradycji, prawda, że nieraz szlachetne porywy narodu polskiego były nadużywane przez władców Francji, prawda, że były także rządy polskie, które pomniejszały wagę, znaczenie i charakter tej tradycji. Nie mniej jednak w sercach obu narodów tradycja ta przetrwała.

Polska myśl demokratyczna i rewolucyjna wiele czerpała z ideałów Wielkiej Rewolucji Francuskiej; organizacja Państwa Polskiego często korzystała — nie zawsze udolnie — z doświadczeń Republiki Francuskiej; wpływy Francji zaznaczyły się także w naszej kulturze, w sztuce i w literaturze. We Francji znajdywali gościnę i byt nasi emigranci, którzy musieli opuszczać kraj bądź to z przyczyn gospodarczych, bądź politycznych. Nie zapomnimy tego — tak, jak nie zapomnimy, w jak wielkiej mierze krwawy wysiłek żołnierza francuskiego w tamtej wojnie światowej dopomógł nam do odzyskania niepodległości; nie zapomnimy pomocy, której nam Francja udzieliła, kiedyśmy dosłownie z niczego musieli tworzyć podstawy naszej gospodarki narodowej; nie zapomnimy wreszcie i tego, że w tej wojnie i dla Francji moment najazdu na Polskę stał się momentem powzięcia decyzji zbrojnego wystąpienia przeciw Niemcom w wykonaniu sojuszu tak bardzo nadwątlonego przez zdradliwą politykę Becka; że w wykonaniu tegoż sojuszu udzieliła nam ona gościny, umożliwiając odbudowanie na emigracji legalnych władz państwowych i armii, zanim sama stoczyła się w mrok okrutnej niewoli niemieckiej.

Militarna siła Francji — osłabiana od wewnątrz i od zewnątrz, nieraz nie tylko przez wrogów, ale

nawet i przez sojuszników — nie wytrzymała straszliwej próby. Sojusz polsko-francuski — w ramach ograniczonych możliwościami fizycznymi — próbę czasu jednak wytrzymał i rząd odrodzonej Francji, uznawszy Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej Polski, stwierdził także, że sojusz ten zachowuje nadal swą moc obowiązującą.

Dbajmy o to, aby sojusz ten pogłębić i rozszerzyć. Dbajmy o to, aby w nowych warunkach starą formę wypełnić nową treścią, zgodną ze starą tradycją w jej najlepszych przejawach. Francja, granicząca bezpośrednio z naszym odwiecznym niemieckim wrogiem, najbardziej przez niego sama zawsze zagrożona, najlepiej ze wszystkich państw Zachodu rozumiała zawsze niebezpieczeństwo niemieckie, i jest najnaturalniejszym naszym sojusznikiem na Zachodzie.

Jesteśmy szczególnie zainteresowani w tym, ażeby w przyszłości Francja znalazła się zwłaszcza pod względem militarnym w korzystniejszym stosunku do Niemiec, aniżeli to miało miejsce przed wojną, i ażeby jej słuszne pretensje, które po tamtej wojnie światowej, niestety, nie znalazły zrozumienia, tym razem zostały uwzględnione. Toteż ostatni Kongres PSL z naciskiem podkreślił, że uważa ograniczenie ewentualnej przyszłej centralnej administracji niemieckiej do linii Renu za konieczne. Nie uwzględnienie tego postulatu musi nieuchronnie — tak, jak po tamtej wojnie — stworzyć ponownie podstawy dla rozwoju poczucia krzywdy i bezsiły w narodzie francuskim.

Drugim i dziś niewątpliwie najpoważniejszym na Zachodzie sojusznikiem naszym jest Wielka Brytania.

Sojusz z Wielką Brytanią przyszedł do skutku w sposób dość niezwykły i naogół nie praktykowany. Nie był on wynikiem długotrwałych pertraktacji przygotowawczych, lecz niejako logicznym skutkiem jednostronnej i dla rządu sanacyjnego nieoczekiwanej gwarancji brytyjskiej dla Polski. Gwarancja ta, w połączeniu z nastrojami społeczeństwa buntującego się już jawnie przeciwko zabójczej polityce przyjaźni z Niemcami, uniemożliwiła Bekowi dalsze zdradzieckie manewry, którym naród sam, dławiony policyjnym systemem sanacji, nie był w stanie w czas przeszkodzić. Pakt, zawarty w wyniku tej gwarancji, był skierowany przeciw Niemcom, co zostało wyraźnie stwierdzone w tajnym załączniku, ograniczającym działanie klauzul o automatycznej pomocy (jedynych rzeczywiście skutecznych) do wypadku agresji niemieckiej.

Sojusz ten nie spełnił w s z y s t k i c h pokładanych w nim nadziei, i na polach bitwy w Polsce nie doznaliśmy czynnej pomocy brytyjskiej. Ale sojusz ten zadecydował o tym, że agresja niemiecka nie zamieniła się w „czternasto-dniową kampanię" tylko, jak ją nazwał Hitler, i że pożoga, rozpętana przez Niemców na naszych ziemiach, ogarnęła w końcu całe Niemcy, druzgocąc nie tylko ich potęgę militarną, ale i organizację państwową. Sojusz ten umożliwił nam kontynuowanie oporu zbrojnego po załamaniu się Polski, i nawet po upadku Francji. Pozwolił nam trwać w walce przez cały ten ciężki i ponury okres, w którym Wielka Brytania ostatnia i sama jedna opierała się jeszcze skutecznie naporowi niemieckiemu, i kiedy wielu innych uważało już wszystko za stracone.

O tem nie zapominamy, nie chcemy zapominać i o tym nie wolno zapominać.

Braterstwo broni i przyjaźń, które zawiązały się w ciągu tych długich i strasznych sześciu lat na rozlicznych polach bitwy, przetrwają w sercach Brytyjczyków i Polaków, gdyż są one mocniejsze od gorzkich i często niesprawiedliwych słów, które się nieraz słyszy.

Mówiąc o braterstwie broni i przyjaźniach, zrodzonych często w ogniu walk, nie sposób nie wspomnieć o Stanach Zjednoczonych, mimo iż nie jesteśmy związani z nimi żadnym formalnym przymierzem, ani sojuszem, których polityka amerykańska tradycyjnie unika.

Niemniej jednak w pamięci każdego Polaka pozostaną zawsze żywymi postacie dwu wielkich amerykańskich prezydentów i światowej miary mężów stanu, Wilsona i Roosevelta, którzy wynieśli imię Polski ponad zgiełk bitewny, ponad swary i kłótnie egoizmów narodowych.

Stawiając sprawę Polski na terenie międzynarodowym, jako sprawę zasady i niejako uosobienie ideałów, o które toczyła się walka, krzepili oni serca Polaków i wlewali w dusze nasze wiarę, że mimo klęsk i nieszczęść wysiłki nasze i ofiary nie pójdą na marne.

Prezydent Roosevelt, w przeciwieństwie do wielu swoich rodaków, zwłaszcza izolacjonistów, rozumiał lepiej, niż wielu innych mężów stanu, że sprawa konfliktu z Niemcami nie ogranicza się do sprawy Polski czy też do sprawy Europy, lecz że jest to największy w historii świata konflikt ideologiczny dwu światopoglądów, konflikt, w którym nie może być kompromisu ani połowiczności, konflikt, którzy nie może zakończyć się nierozegraną i w którym Stany Zjednoczone będą musiały wziąć czynny udział.

Zanim Stany Zjednoczone zostały wciągnięte w wir bezpośredniej akcji bojowej, Prezydent Roosevelt stworzył z nich „arsenał walczących demokracji".

W tym pierwszym okresie ostatniej wojny światowej płynęły do nas z Ameryki nie tylko pocieszenia i wezwania do wytrwania, nie tylko słowa, ale płynęła broń, amunicja, ekwipunek i żywność dla naszych żołnierzy, co umożliwiało nam kontynuowanie naszego wysiłku zbrojnego przez cały czas wojny.

Gdy Stany zostały wciągnięte do czynnego udziału w wojnie, pomoc ta została jeszcze rozszerzona i dołączyło się do niej pełne braterstwo broni. Braterstwo, które nie zostało wprawdzie ujęte w pisaną formę jakiegoś sojuszu, ale które jest nie mniej żywe i zostało przypieczętowane nie woskiem miękkim czy kruchym lakiem, lecz wspólnie przelaną krwią.

Podobne, nie pisane braterstwo broni, łączy nas z innymi miejszymi demokracjami Zachodu. Niejednokrotnie w czasie tej wojny żołnierze, lotnicy i marynarze norwescy, belgijscy, holenderscy i polscy walczyli razem i wspólnie się wspierali. Konspiracje tych krajów niejednokrotnie ze sobą współdziałały: niejeden polski zbieg z niemieckich więzień czy obozów pracy, jenieckich lub koncentracyjnych, znajdywał schronienie i pomoc u belgijskiego robotnika, holenderskiego rolnika czy norweskiego rybaka. Dla niejednego miasta, wsi czy osiedla holederskiego lub belgijskiego, słońce odzyskanej wolności z polskich zajaśniało sztandarów.

Z wszystkimi tymi państwami złączył nas jeden wspólny cel: zmiażdżenie buty i tyranii niemieckiej. Łączy nas z nimi nadal dążenie do zabezpieczenia świata przed ewentualnością nowej napaści niemieckiej, dążenie do ustalenia rządów prawa, sprawiedliwości i pokoju powszechnego na całym świecie.

Mogą być nieraz między nami różnice, różnice co do wyboru metod i środków, jakie należy stosować w tym naszym dążeniu; mogą powstawać przemijające nieporozumienia, wynikające nieraz ze zbyt ciasno może pojmowanych interesów narodowych i państwowych. Ale napewno nie może ulegać wątpliwości cel ostateczny, do którego narody te wszystkie dążą.

Dlatego musimy starać się, aby ewentualnych różnic nie pogłębiać, aby nie jątrzyć, nie mącić i nie zatruwać wzajemnych stosunków. Musimy zwłaszcza starać się unikać wszelkich niebezpiecznych nawrotów do tak szkodliwej i drażniącej sanacyjnej tromtadracji wielkomocarstwowej, do głupiej buńczuczności i zwykłego ordynarnego chamstwa w stosunkach z innymi narodami. Nie jest to bowiem naogół przejawem prawdziwej siły, ani też nie wypływa z poczucia pełnej słuszności swej sprawy, i nie można tego pogodzić z kulturą, którą się często i chętnie chlubimy.

Tyle co do interesu politycznego narodu polskiego, któremu musi służyć polityka zagraniczna Państwa Polskiego, i tyle o wynikającym z tego naszym stosunku do demokratycznych państw zachodu.

W myśl jednak drugiego — gospodarczego — interesu narodu nie możemy ograniczyć sią tylko do tego.

Pomoc zagraniczna w odbudowie i w dalszym rozwoju Polski jest bezwzględnie konieczna. Potrzebę jej podkreślał kilkakrotnie także Generalissimus Stalin w rozmowach z Premierem Mikołajczykiem, zwracając uwagę na potrzebę utrzymania rozległych stosunków z kapitalistycznymi państwami zachodu.

W pierwszym okresie powojennym przyszła nam z pewną ograniczoną pomocą UNRRA, która, w połączeniu z indywidualną pomocą innych państw, ze Związkiem Radzieckim na czele, oraz przy naszych własnych, także ograniczonych i z konieczności prymitywnych wysiłkach, pomogła nam przetrwać pierwszy okres powojenny. Pomoc ta jednak kończy się już w tym roku i nie wiadomo jeszcze, czy i w jakiej mierze zostanie ona zastąpiona przez inną zorganizowaną formę działania Narodów Zjednoczonych.

Musimy więc dążyć do tego, aby jak najszybciej zapewnić sobie możliwie najszersze stosunki gospodarcze, kredyty towarowe, surowcowe i pieniężne w ramach zakreślonych przez Narody Zjednoczone.

Głównym źródłem tego rodzaju pomocy może być w obecnych czasach tylko organizm gospodarczy Stanów Zjednoczonych. Niemniej jednak trzeba oczywiście dążyć do wykorzystania wszelkich tego rodzaju możliwości także i na terenie innych państw.

Po to, ażeby jednak tę pomoc kapitału zagranicznego w odpowiednich rozmiarach uzyskać, nie wystarczy wołać w prasie naszej, w radiu i na przeróżnych manifestacjach i zebraniach, że nam się ta pomoc słusznie należy. Nie wystarczy także pojechać za granicę, wyciągnąć rękę i powiedziej „daj! daj, bo mi się słusznie należy w myśl zasad sprawiedliwości społecznej i humanitaryzmu! Daj, boś ty się uchronił od klęski i ocalał, a ja zostałem zniszczony, spalony i złupiony". Kapitał jest naogół jeszcze dość nieuspołeczniony i dość nieczuły na tego rodzaju argumenty, a jednak t r o s z k ę nam ten kapitał jest potrzebny.

Trzeba pamiętać o tym, że, niestety, jeszcze nie żyjemy w tak idealnych stosunkach, ażeby biorący mógł dyktować dającemu, na jakich warunkach będzie dawał. Trzeba być przygotowanym na to, że z wszelką pomocą i z wszelkimi kredytami wiążą się i będą się także w przyszłości wiązały pewne warunki, które będą formułowane przede wszystkim pod wpływem dającego, a nie biorącego. Ponieważ pożyczka ma służyć rozwojowi interesów narodu, więc też, rzecz jasna, mowa być może tylko o warunkach, nie będących w sprzeczności z tymi — politycznymi i gospodarczymi — interesami naszego narodu. Trzeba dalej umieć zdobyć, a następnie utrzymać zaufanie dającego i trzeba raz zaciągniętych zobowiązań umieć dotrzymywać, aby móc nowe zaciągać. Wreszcie, trzeba umieć wzbudzić zaufanie dającego do swej umiejętności celowego i oszczędnego gospodarowania, bo dający ma bardzo często brzydki zwyczaj pytania się, na co i jak to, co daje, zostanie zużytkowane.

W tym miejscu nasi „inteligentni" i „przenikliwi", a złośliwi przeciwnicy sykną: „tu was mamy! Chcecie nas zaprzedać w niewolę obcego kapitału. Drogą penetracji obcego kapitału chcenie politycznie i gospodarczo spętać Polskę i wydać ją na łup obcych potencji. Zdrajcy! Obce agentury!"

Ano trudno. Tak się już zawsze składało jakoś dziwnie, że zawsze, dopóki nie trzeba było iść na front lub do obozu, byliśmy mniej patriotyczni od innych, służyliśmy komu innemu, tylko nie Polsce. Przed wojną byliśmy mniej patriotyczni, niż endecy, a potem niż sanatorzy. W czasie wojny, w Londynie, byliśmy mniej patriotyczni od sanatorów, endeków i socjalistów razem, dziś jeste-

śmy znów mniej patriotyczni od peperowców, pepesowców i innych demokratów rożnego autoramentu. Przed wojną byliśmy na przemian raz komunistami raz reakcjonistami, w czasie wojny też, a teraz znowu jesteśmy reakcją. Tylko demokratami nie byliśmy nigdy. Trudno. Taka już dziwna nasza przekora. Widocznie to nie tak, jak Prezes Mikołajczyk powiedział w Katowicach, że „od lat pięćdziesięciu wiatr nam wieje w oczy", tylko że to my temu wiatrowi wiejemy zawsze w nos, i nie chcemy się z nim odwracać, jak to porządni, grzeczni i rozsądni ludzie czynić powinni.

Wracając do tematu, trzeba dalej powiedzieć, że na tym sprawa się nie kończy. Jest to objawem krańcowej głupoty, jeżeli znajdują się w Polsce ludzie, którzy twierdzą i wołają: „Dajcie nam tylko pieniądze, dajcie nam kredyty towarowe i surowcowe, a w parę lat dogonimy, albo nawet prześcigniemy inne państwa w rozwoju".

Nam potrzeba jeszcze czegoś więcej, jeżeli gospodarka nasza ma rzeczywiście być planowa, oszczędna i skuteczna, jeżeli mamy uniknąć niepotrzebnego marnotrawstwa środków, czasu i energii. Potrzeba nam nowych formuł chemicznych, potrzeba nam znajomości nowych procesów technicznych, nowych metod produkcji, potrzeba nam pełnego dostępu do wszystkich nowoczesnych zdobyczy wiedzy, nauki i techniki, które zostały nagromadzone przed i w czasie tej wojny.

Potrzeba nam wreszcie ekspertów, fachowców i doradców o wielkim doświadczeniu i rutynie. Potrzeba nam ponad wszystko ludzi, przyzwyczajonych do planowania na wielką skalę, ludzi d o ś w i a d c z o n y c h j u ż i z a p r a w i o n y c h w borykaniu się z olbrzymimi trudnościami. Potrzeba nam mózgów takich, jak te, które planowały i organizowały takie np. przedsięwzięcie, jak TVA (Tennessee Valley Authority, czyli: Zarząd Doliny Tennessee), które w ciągu lat niespełna dziesięciu zmieniło całkowicie oblicze gospodarcze, a co za tym dzie także i społeczne i kulturalne tej doliny, o obszarze równającym się przeszło jednej trzeciej terytorium naszej Rzeczypospolitej, zamieniając to siedlisko nędzy, zacofania i ciemnoty w jeden z przodujących okręgów Stanów Zjednoczonych

Kładę nacisk na „doświadczenie" i „zaprawienie", ponieważ talenty mamy i u nas, ludzi o niezłym przygotowaniu teoretycznym i ograniczonej praktyce na mniejszą miarę mamy. Ale mamy ich stanowczo za mało i doświadczenie ich jest na zbyt ograniczoną skalę w porównaniu do potrzeb, jakie przed nami obecnie stoją. Należy dążyć do tego, ażeby korzystać w jak najszerszej mierze z doświadczeń innych i ażeby z praktyki innych nabywać potrzebne nam wyrobienie.

Potrzebne nam jest to wszystko nie po to, rzecz jasna, ażeby przykuć organizm gospodarczy Polski do zwycięskiego rydwanu kapitalistycznej, choć coraz bardziej kontrolowanej i kierowanej przez państwo, gospodarki Zachodu, lecz potrzebne nam to jest, aby móc podnieść poziom naszego życia gospodarczego i aby podnieść poziom stopy życiowej polskiego robotnika, chłopa i inteligenta pracującego do poziomu takiego, jaki istnieje w innych, gospodarczo bardziej i lepiej rozwiniętych organizmach państwowych świata.

Potrzebne nam to jest dalej także i po to, aby móc polski wysiłek twórczy w całej pełni dostroić do takiegoż wysiłku wszystkich Narodów Zjednoczonych w imię celów wspólnych całej ludzkości, tj. zapewnienia człowiekowi pracującemu godziwych i naprawdę ludzkich warunków bytu.

Prawda, Rosja posiada nieprzebrane bogactwa surowców i posiada ludzi o wielkiej wiedzy technicznej i gospodarczej, i o wyrobieniu i doświadczeniu na olbrzymią skalę, przeto może nam ona udzielić daleko idącej pomocy.

Z pomocy tej korzystamy obecnie i korzystać z niej powinniśmy nadal w możliwie największych rozmiarach. Nie należy jednak zapominać, że wielkie obszary — może najbardziej uprzemysłowione — Rosji znalazły się też w zasięgu niszczycielskiej furii niemieckiego najeźdźcy, że Rosja skutkiem tego poniosła także olbrzymie straty i że ona sama domaga się dzisiaj także pomocy od Zachodu, i dąży do jak najenergiczniejszego wykorzystania wszystkich swoich sił, środków i zasobów w olbrzymim dziele odbudowy, jakie przed nią stoi. Nie oczekujmy więc od niej zbyt wiele. Nie oczekujmy więcej, aniżeli to jest potrzebne i konieczne, i z punktu widzenia naszej przyjaźni zdrowe.

Rzecz jasna, że poruszone tu zagadnienia nie wyczerpują całokształtu naszego stosunku do Zachodu i naszych z nim związków.

Tak jak z Rosją łączą nas węzły wspólnego słowiańskiego pochodzenia i najściślej zespolony interes obronności naszych krajów, tak z Zachodem łączą nas węzły pokrewieństwa kulturalnego. Gdziekolwiek spojrzymy w Polsce, wszędzie są widoczne ślady oddziaływania Zachodu. Tego naszego związku z Zachodem nie chcemy bynajmniej zaniedbywać, przeciwnie, chcemy go zachować i nadal rozwijać. Z jedną korekturą. Nie może nigdy odrodzić się ten sposób rozumowania, który narzucał nam pogląd, że jesteśmy ostatnim wschodnim bastionem obronnym tej kultury. J a k w d z i e d z i n i e p o l i t y c z n e j t a k i w k u l t u r a l n e j z n i k n ą ć m u s i b e z r e s z t y u n a s k o m p l e k s d z i e l e n i a.

Nie podzielam spotykanego czasem poglądu, że powinniśmy się starać, ażeby być pewnego rodzaju łącznikiem i pośrednikiem między Rosją i Zachodem, gdyż uważam, że Związek Radziecki jest dość silny i, co najważniejsze, dość samodzielny, aby sobie samemu i bez żadnego pośrednictwa układać swoje stosunki z Zachodem. Wszelkie intencje pośredniczenia zakrawają w tym wypadku, moim zdaniem, na dużą megalomanię. Musimy jednak dbać o to, ażebyśmy nigdy nie skłaniali się w kierunku dzielenia.

Tyle, jeśli chodzi o branie.

A co możemy dać w zamian? Pytanie ważne dla

nas samych, bo, jak to podkreślił Prezes Mikołajczyk w swoim przemówieniu w Quebec, znacznie przyjemniej jest dawać, aniżeli brać. W myśl tej zasady Rząd Polski, gdy tylko otworzyła się ku temu możliwość, dał UNRRA większą partię węgla, aby i ze swej strony przyczynić się do niesienia pomocy innym narodom najbardziej potrzebującym.

Politycznie możemy dać jak najpełniejszą i jak najlojalniejszą współpracę w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, zrodzonej z gorącego idealizmu Prezydenta Roosevelta; możemy dać skrupulatne wykonywanie przyjętych na siebie zobowiązań, poszanowanie ducha i litery prawa tak w stosunkach międzynarodowych jak i wewnętrznych: możemy dać pełny wysiłek w kierunku utrwalenia dobrych obyczajów oraz panowania prawa i sprawiedliwości na świecie.

W dziedzinie gospodarczej możemy obecnie dać niewiele jeszcze. A ile i co będziemy w stanie dać w przyszłości, to w dużej mierze zależeć będzie nie tylko od naszych własnych wysiłków, ale także i od tego, w jakiej mierze dziś udzielona nam zostanie pomoc.

Jedno jest pewne. Naród Polski ze swej strony uczyni wszystko, co leży w ramach jego ograniczonych możliwości, aby stać się nie tylko pełnoprawnym, ale i pełnowartościowym członkiem Narodów Zjednoczonych. W jakiej mierze wysiłki te będą skuteczne, zależy od zrozumienia i pomocy okazanej mu z zewnątrz.

WACŁAW KOBUZ

Margrabia Wielopolski*)

Przez długi ciąg dziejów przewija się idea przyjaźni politycznej polsko-rosyjskiej, trwałej, mocno opartej o zgodne ze sobą racje stanu obu narodów. Sprzeczności i walki między nimi ukryły niejako ten fakt przed naszymi oczami. Tym nie mniej jest to fakt niewątpliwy, tym bardziej wyrazisty, że nie miał on żadnego poważnego odpowiednika w koncepcji przyjaźni politycznej z drugim wielkim sąsiadem, Niemcami.

W czasach najdawniejszych, gdy Rosji jeszcze nie było, ale Niemiec był na zachodzie, tak jak i dziś, sojusz na wschodzie, zgodność racyj obu narodów — były bodaj osiągnięte w stosunkach polsko-ruskich. W układzie sił, zmienionym przez rozbicie państwowości ruskiej, unia polsko-litewska traktowana być może jako forma zastępcza polsko-ruskiej przyjaźni. Po pojawieniu się carstwa moskiewskiego, w długim okresie polskiej przewagi materialnej i kulturalnej, idea przyjaźni politycznej, a nawet związku, stale przeplata się z prowadzonymi przez oba narody walkami. Zresztą i walki te nie zmierzały wówczas do zniszczenia lub wchłonięcia przeciwnika. Władysław IV był obrany carem moskiewskim, Samozwańcy byli agentami magnaterii polskiej, ale jako żywo nie przypominający Quislinga. Iwan Groźny pretendował do tronu polskiego. Batory pod Pskowem przygotowywał wyprawę turecką, a nie podbój Moskwy. Nie zdobyto się jednak wówczas na postawienie idei przyjaźni politycznej tak wyraźnie, tak mocno, w oparciu o dążenie do tak wielkich celów, aby ideę tę narody zdołały przyswoić sobie i uznać ją za swą rację stanu — co przecież osiągnięto przedtem, w wypadku unii z Litwą. Przeto sprawa dwu wielkich narodów rozmieniona została na drobne interesy dynastyj lub grup politycznych.

To jest jednak przeszłość, zagłuszona w okresie przewagi rosyjskiej, wykorzystanej skutecznie i brutalnie, zmierzającej do trwałego zniszczenia i wchłonięcia państwa i narodu polskiego.

Naturalną, biologiczną niejako reakcją każdego organizmu, któremu grozi utrata bytu, jest walka z siłą niosącą mu zniszczenie. Niekiedy reakcję taką zastąpić można postępowaniem wyrozumowanym, zmierzającym do usunięcia przyczyny sprzeczności interesów, a nawet do ich uzgodnienia, a więc do znalezienia zgodnych ze sobą racyj stanu zamiast prowadzenia walki. Jest to proces trudny. Zwłaszcza dla narodu zagrożonego, a więc w myśl nierozumowanej, biologicznej racji stanu, nakazującej opór bezkompromisowy, skłonnego za zdrajcę uważać każdego, kto wysuwa ideę porozumienia z zaborcą. Zważmy, że w Polsce słowo „ugodowiec" było i bodaj jest jeszcze określeniem potępiającym, zwłaszcza gdy zastosowane do polityka; tak bardzo mocno zakorzeniła się niechęć do kompromisu, iż utrwalił ją język, nadając wyrazowi wydźwięk emocjonalny akurat odwrotny niż u innych narodów.

A jednak w stosunkach polsko-rosyjskich idea przyjaźni politycznej, pomimo wszystko trwała i odżywała, w rękach i umysłach bynajmniej nie samych tylko zdrajców i sprzedawczyków. Narody — oba narody — w powszechności swojej niezdolne były przyswoić sobie idei przyjaźni politycznej, a jeżeli udawało się to im przelotnie, to wnet potem niszczyły ją, tym mocniej zapiekając się we wzajemnej nieufności i nienawiści. Mężowie polityczni, starający się ujawnić i sfomuło-

*) Ksawery Pruszyński: **„Margrabia Wielopolski"** W-wa, **„Czytelnik"** 1946 r.

wać wspólną rację stanu, napotykali na największe trudności, szukając dla niej rezonansu w swych społeczeństwach, byli potępiani, uznawani za wrogów przez naród. Można uważać, że było to słuszne i celowe wówczas, z punktu widzenia owej biologicznej racji stanu, dla podtrzymania bezkompromisowego ducha oporu. Wszelako, oceniając rzecz w perspektywie czasu, nie można się zgodzić, że świadomymi wrogami i zdrajcami narodu była czy to Familia, czy Adam Czartoryski, czy przeciwnicy powstania listopadowego, czy margrabia Wielopolski. Byli to mężowie polityczni, których działalność nabiera cech tragicznych, wskutek nieumiejętności czy niemożności znalezienia wyjścia z kolizji między żywiołową racją stanu, wyczuwaną przez powszechność, a rozumowaną racją stanu, głoszoną przez nich. W postaci margrabiego Wielopolskiego tragizm ten wybija się najostrzej.

*

Rosja, zgniótłszy powstanie listopadowe, trzymała Królestwo Kongresowe mocną i twardą ręką — ale niebardzo wiedziała, co z nim robić. Istniał system rządzenia, będący mieszaniną okupacji wojskowej z dawnymi jeszcze urządzeniami autonomicznymi. Kraj podnosił się z bezwładu, spowodowanego klęską powstańczą i emigracją, potężniał prąd wolnościowy, mnożyły się niepokoje, zgoła niewygodne dla rządu petersburskiego, działającego właśnie w atmosferze przegranej wojny krymskiej i czułego na opinię zachodnią. Oczywiście, dla Rosji nie było mowy o rezygnacji z Kongresówki, a tym bardziej o podjęciu dyskusji o ziemiach leżących na wschód od Bugu — ale pojawił się problem — c o u c z y n i ć z Królestwem Kongresowym, aby przestało ono odgrywać rolę czynnika z punktu widzenia rosyjskiej racji stanu negatywnego i stało się dla niej czynnikiem pozytywnym. Nie bez znaczenia była tu aktualizująca się właśnie idea pansłowiańska, dla której prześladowania Polaków było również potężnym hamulcem, jak współpraca z Polakami mogła być potężnym motorem.

Rząd polski nie potrafił znaleźć odpowiedzi na owo „co uczynić". W znalezieniu jej napewno nie mogła mu dopomóc rosyjska administracja Królestwa, zdobywająca się tylko na represje policyjne, nic nie mające wspólnego z myślą polityczną, w ogóle nie przemyślane, dla dyplomacji rosyjskiej kłopotliwe, a brutalnością swą jeszcze zaogniające stosunki między obu narodami. Przeto zapytano Polaków. — „Czego Polacy chcą? Czy istnieją takie warunki, za cenę których Rosji na Zachodzie przestałaby wciąż wadzić sprawa polska, osiągnięty byłby spokój wewnętrzny, umożliwione dalsze słowiańskie plany? Czego Polacy chcą? Petersburg dawno naglił Gorczakowa, aby to wysondował..."

I oto pojawił się pierwszy splot tragedii politycznej, jaką była wówczas trudność znalezienia wyjścia z kolizji między postawą wyczuwaną przez naród, a racją stanu, którą mogłyby określić organy polityczne narodu.

Organów tych nie było. Administracja wojskowa nie dopuściła do ich powstania, za ważny cel stawiała sobie niszczenie w zarodku wszelkich form organizacji politycznej. Jedyną właściwie poważną instytucją polską było sławne Towarzystwo Rolnicze. Pozwolono mu istnieć, pilnie bacząc, aby zajmowało się uprawą żyta i hodowlą trzody, co najwyżej trochę sprawą chłopską — z czym zresztą Towarzystwo zgodziło się dosyć łatwo. Grupowało ono tylko wielkie i średnie ziemiaństwo, więc jedną wyłącznie warstwę społeczną, a nie całość narodu. Nie było żadnym w ogóle organem politycznym. „Tu nie chodziło już o typ pługa czy trójpolówkę, o orkę głęboką czy płytką. Najpoważniejsza i jedyna organizacja społeczna kraju miała powiedzieć władzy, czy i na jakich warunkach możliwe jest pojednanie pomiędzy Polską i Rosją. Aby dorość do swej roli, s e j m d e f a c t o musiałby być senatem mędrców. Tymczasem nie tylko nie był senatem, nie tylko nie był sejmem, ale nie był nawet sejmikiem. Był po prostu odpustem." — Na bezrybiu i rak ryba — ale niebardzo nim się można pożywić. Rozbijanie polityczne społeczeństwa okazało się wielkim błędem rządu rosyjskiego z chwilą, gdy stanął przed pytaniem politycznym „czego Polacy chcą". Nie mogła paść odpowiedź, będąca próbą uzgodnienia racyj stanu obu narodów, bo nie miał jej kto dać, ujawnić się mogła tylko żywiołowa postawa.

Tak się i stało. Towarzystwo uchwaliło adres do tronu, będący bukietem puszystych, a nic nie mówiących słówek, wprost odmówiło odpowiedzi, bo nie było zdolne jej udzielić — a leader Towarzystwa, Andrzej Zamoyski, miał ponoć oświadczyć W. Ks. Konstantemu: „chcemy, abyście się stąd wynieśli", co jako żywo nie dałoby się uznać za program współdziałania. Okazało się, jak źle jest kneblować usta narodowi, z którym się chce rozmawiać.

I oto zaczyna działać szczęśliwy przypadek. Przypadkiem bowiem było, że nie posiadający po temu żadnego mandatu margrabia Wielopolski sam od siebie składa namiestnikowi memoriał, będący próbą sformułowania właśnie tej rozumowanej racji stanu, której szukano. Była tam mowa o czymś w rodzaju parlamentu, o samorządzie, szkolnictwie wyższym, spolszczeniu administracji itp., wszystko na podłożu rezygnacji z aspiracji zabużańskich oraz podcieniowane myślą o odebraniu Niemcom Poznania i Krakowa, jakoby nawet marzeniem o Śląsku i Gdańsku, na dalszym jeszcze tle mgliście pojawiała się idea pansłowiańska. Więc napewno nie same tylko ugodowość i optymizm, przeciwnie, choć napewno niedoskonała, ale twórcza, ofenzywna myśl polityczna, system wzajemnych ustępstw i wspólnych celów. W Petersburgu projekt przyjęto, Wielopolski obejmuje rządy, stacza pomyślną walkę z lokalną administracją rosyjską, rozszerza swą władzę i swój pro-

gram, włącza doń reformę agrarną, reformę szkolną i żydowską, intensywnie polszczy administrację, namiestnikiem zostaje liberalny W. Ks. Konstanty, którego „wicekrólestwo w Warszawie leżało na pół drogi do Pragi“.

Czyż więc uosobiony w Wielopolskim szczęśliwy przypadek zastąpił dezorganizację polityczną społeczeństwa i stworzył dobre podłoże dla współdziałania politycznego obu narodów? Niewątpliwie mogłoby się było tak stać, gdyby Margrabia swój program osobisty uczynił programem społeczeństwa, choćby jego części, choćby nie wszystkie punkty programu, choćby w atmosferze i formie dyskusji politycznej. Gdyby udało się prądy wolnościowe ściągnąć z demonstrującej ulicy na jakąś salę obrad. Gdyby program, uzgodniony z petersburskim dworem, uzgodnić również z warszawską ulicą, uzupełnić rozumowaną rację stanu niektórymi elementami emocjonalnymi, uszanować nastroje wolnościowe społeczeństwa. Mnóstwo tych „gdyby“, które stanowiły zupełnie realne możliwości, a które dadzą się zawrzeć w jednym jeszcze „gdyby“: gdyby Margrabia był nie tylko rozumującym mężem stanu, ale również Polakiem, poczuwającym się do polskiej łączności ze swym narodem, gdyby miał ten trudny talent przywódcy, polegający na narzucaniu swej woli, ale jednocześnie wykonywaniu woli tych, którym przywodzi, gdyby był przywódcą naprawdę demokratycznym, typu np. Franklina Roosevelta.

Wiemy, że tak się nie stało, że rychło w najostrzejszej formie wybuchnąć miała owa żywiołowa, bezkompromisowa, nierozumowana postawa, powstanie styczniowe miało rozbić wszelkie plany Wielopolskiego, zniszczyć na długo możliwości politycznej przyjaźni polsko-rosyjskiej, wykopać między obu narodami przepaść najgłębszą. Jakiż był mechanizm tej nieszczęsnej kolizji?

*

Margrabia nie miał i w toku swej działalności nie pozyskał sobie żadnego mandatu od narodu, ani formalnego, ani emocjonalnego. Działał w tak ostrej izolacji od społeczeństwa, że szukając jej przyczyn Pruszyński sięgać musi aż do rzekomych atawizmów rodzinnych: „Wielopolscy nawykli być czymś innym, niż cała reszta Polski — to jest to, co oni i ich współcześni uważali wtedy za Polskę— i nieomal z reguły iść przeciwko temu“. Przystępując do realizowania swego programu, Margrabia nie szukał kontaktu ze społeczeństwem, nie starał się pozyskać narodu dla reprezentowanej przez siebie racji stanu. Chciał ją narzucić nieufnemu narodowi, narzucić siłą. Każda z reform jego była niewątpliwie zgodna z ówczesnymi interesami Polaków i na ogół za taką była uznawana. Reformy te były z rosyjskiego punktu widzenia ustępstwami, realnymi objawami dobrej woli w dążeniu do przyjaźni politycznej narodów. Jednocześnie jednak trwał i działał reżim policyjno-sołdacki. Pamiętne demonstracje warszawskie lat sześćdziesiątych były przejawami bezkompromisowego ducha oporu przeciw zaborcy, rozpędzono je nahajką i strzałami, bez żadnych prób pozyskania ogółu dla ducha współpracy z sąsiadem, dyktowanego przez rozumową rację stanu. Uczono nas dawniej, że przyczyną takiego postępowania była bezgraniczna pycha Margrabiego. To się wydaje wątpliwe, był na to zbyt rozumny. Raczej nie doceniał najbardziej istotnych cech narodu polskiego, jego zamiłowania wolności, gotowości do zrywów ofiarnych, nawet gdy beznadziejne, niezdolności do ugody z ręką, która go bije. Mniemał zapewne Margrabia, że ośrodki buntu są dosyć słabe, a społeczeństwo dosyć bierne, aby można naród „trzymać za twarz“ i tak na krótkich lejcach doprowadzić go do momentu, gdy zgodność polskiej i rosyjskiej racji stanu potwierdzona już będzie faktami dostatecznie licznymi i niezbitymi, aby duch oporu utracił podstawy; może aż do momentu wspólnego wystąpienia przeciw Niemcom.

W tych działaniach swoich oparł się na biurokracji polskiej. Oparł się również na spadkobiercy Towarzystwa Kredytowego, stronnictwie Białych, lekceważąc je jawnie, nie współpracując z nim, zwalczając je, ale licząc na jego bezwładność polityczną i niechęć do krańcowych wystąpień. Dla stronnictwa Czerwonych miał kozaków, nahajki, wojsko na ulicach i policję. Nie zna narodu polskiego, kto dziwiłby się, że represje wzmacniały ducha oporu. Margrabia sięgnął do zabiegu chirurgicznego, spowodował brankę. „Rzecz była jasna, dlaczego Wielopolski chciał opróżnić kraj z najczerwieńszych, z najradykalniejszych żywiołów bojowych. Oto bał się wybuchu. Rzecz jest również jasna, dlaczego carscy generałowie nie chcieli polskiego rekruta. Oni wybuchu chcieli“.

Mylił się Margrabia. Branka była szczytowym punktem kolizji między dwoma racjami stanu, między Wielopolskim a narodem polskim. Sprowokowała Czerwonych do zbrojnego wystąpienia przeciw kozakom, nahajkom, wojsku i policji. Nastąpiło przełamanie bezwładu i ugodowości Białych: poszli do Powstania. Za nimi poszli i biurokraci Wielopolskiego. Margrabia, postać już w pełni tragiczna, ujrzał w gruzach swą rozumną rację stanu. Obaliły ją cnoty i wady polityczne Polaków, których nie docenił. Możliwość polsko-rosyjskiej przyjaźni politycznej została zniszczona na długo, między obu narodami otworzyła się przepaść głębsza niż kiedykolwiek. Nikt jej nie chciał, nie była konieczna, była wynikiem tragicznego błędu.

*

Mawiał podobno Margrabia: „dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami nigdy“, a postępował tak, jakby zamierzał „coś zrobić“ dla Polaków wbrew Polakom. To samo zdanie przypisywano później Marszałkowi Piłsudskiemu.

Otóż to jest błąd, z gatunku tych błędów politycznych, które są gorsze niż zbrodnia. *Dla Polaków można coś uczynić tylko razem z Polakami.* Inaczej nie przyjmą, popsują.

Margrabia Wielopolski dlatego właśnie, że był *margrabią*, z trudem może to rozumiał. Ale ta niezdolność zrozumienia prawdy nie usprawiedliwia

go, nie zmienia faktu, że błądził i szkodził tem narodom.

Oczywiście, mógł Margrabia tworzyć fakty dokonane swych reform politycznych i społecznych. Uczynił to w znacznym zakresie W szczególności uzyskane od Rosji koncesje polityczne były wcale znaczne: niewątpliwie było to formalna zdobycza, że sławną brankę wykonywały polskie władze administracyjne, że strzały do tłumu na Placu Zamkowym były wykonaniem zarządzeń władz polskich. Ze wszystkich reform Margrabiego społeczeństwo korzystało, nawet je sobie niechętnie chwaliło — ale tym niemniej nie widziało w nich swej racji stanu, nadal rządziło się postawą emocjonalną, nie tylko nie ustępowało od niej ani na jotę, ale przeciwnie, utwierdzało się w niej. Pruszyński mgliście tłumaczy to jakąś irracjonalną, a głęboką i powszechną niechęcią do Margrabiego, jakimiś przyczynami personalnymi: „jedyna troską umiarkowanych były starania, aby te pożyteczne niewątpliwie reformy przeprowadzał kto inny: pan Andrzej".

Bardzo to nieprzekonywujące. Pewne jest, że przyczyna niechęci społeczeństwa nie mogła być osoba reformatora, lecz stosowana przezeń *metoda* reformowania, na siłę, poniewoli wojskiem, policja, strzałami, nahajkami. Naród zupełnie nie umiał po tej drodze dać się prowadzić do upragnionej wolności, ani nie chciał, ani nie mógł poprzeć stosującego te metody Margrabiego, choć same reformy rozum nakazywał uznać za dobre.

Represje miały uderzyć tylko w nieprzejednanych Czerwonych, ale reagowali na nie wszyscy jednakowo: rosnącą wrogością do Margrabiego i jego linii politycznej. Proces ten wydaje się być naturalny i bodaj nieuchronny. Zważmy bowiem, że emocjonalna postawa, wywodząca się z biologicznego odruchu, już zakorzeniona w umysłach i uczuciach, *wyczuwana* przez społeczeństwo, uznające w swym języku „ugodę" za odpowiednik zdrady — ta przeto postawa otrzymuje z dnia na dzień pożywkę. Jednocześnie rozumowana racja stanu legitymuje się reformami, będącymi cząstką systemu wzajemnych ustępstw i wspólnych celów, operuje więc czynnikami rozumowymi — w swej istotnej treści znajdującymi codziennie zaprzeczenie w aktach policyjnego gwałtu politycznego; przy czym nie znajduje ta rozumowana racja stanu poważnego łącznika z tworzywem emocjonalnym narodu, nie opiera się też na posiadającym zaufanie autorytecie. Nie można wszystkich wybryków policyjnych, wyczynianych przez carskich generałów, kłaść na karb Margrabiego. Ale on, miast je jawnie potępiać wraz z narodem — *i zgodnie ze swą własną racją stanu* — właśnie autoryzował je, czynił je cząstką swej działalności politycznej, inicjował je nawet. Obywatel, tratowany przez kozaków podczas manifestacji patriotycznej, miał prawo, nawet musiał uważać, że właśnie wykonywana jest na jego skórze czynność polityczna, należąca do idei ugodowej Margrabiego. Nie znalazł on, czy nie chciał szukać żadnej więzi, łączącej między swym dążeniem do wolności ścieżkami rozumu a wolnością dnia codziennego, której musiał się domagać warszawski man on the street 1) z r. 1862; wręcz przeciwnie, stwarzał między tymi dwoma wolnościami rozdźwięk. Kompromitował w ten sposób w oczach ogółu swą politykę ugody, a nawet swe rozumne reformy. Jeżeli byśmy przyjęli, że Margrabia był zdrajcą, to chyba nie na żołdzie rosyjskim, a raczej na żołdzie tego Gladstona, czy też Palmerstona, który w niewiele miesięcy potem z jowialnym cynizmem miał mówić o stosunku Polaków do Rosji Julianowi Klaczce, wysłańcowi Rządu Narodowego: „To bardzo przykre, młody człowieku, ale w interesie polityki brytyjskiej leży, aby ta rana krwawiła nadal".

Oczywiście przekupnym zdrajcą nie był. Popełnił tylko błędy, szkodliwe dla obu narodów, które miał okazję sprzymierzyć, pożyteczne dla zamorskich polityków perfidji.

*

Drugą osobą obok Wielopolskiego, wybijającą się na czoło polityków, był w ówczesnej Polsce Andrzej Zamojski. Począwszy od wyglądu zewnętrznego, skończywszy na składnikach charakteru, duszy był on przeciwieństwem Margrabiego. Nie znosił działań szybkich, uchylał się od przecinania spraw, gdy były trudności czy sprzeczności zbyt wielkie sprawę odkładał, nie bacząc, że kiedyś owo odkładanie może nagromadzić kwestii trudnych do rozwiązania liczbę tak wielką, iż żaden wysiłek im nie sprosta. Nie zważał, odkładając rozwikłanie sprawy, że mus rozcinania może przyjść w czasie najgorszym, najmniej odpowiednim. Zamojski nie szukał odpowiedzi w samym sobie nie ważył sprawy w kontemplacji. Szedł tym samym szlakiem co przeciętny obywatel tamtych czasów. Gdy miał powziąć decyzję bacznie patrzył co brać szlachecka przeżywa, co chciałaby widzieć. Nie chciał i nie usiłował z siłą przedstawić swych poglądów, gdy były one odmienne od powszechnych. Znalazłszy się w sytuacji trudnej, wymagającej nieodzownie jasnego stawiania sprawy, dawał odpowiedzi nic nie mówiące, w których każda ze stron mogła znaleźć wszystko, lecz nie zdecydowanie, wolę, jasną myśl.

Zamojski nie był przywódcą poczuwającym się do obowiązku z racji zajmowanego stanowiska do patrzenia szerzej, do wnikania w sprawy głębiej. Emocjonalny stosunek do spraw politycznych nie pozwalał mu bystrym okiem, zimnym rachunkiem rozsądzić rzecz, znaleźć wyjście o rozumne przesłanki oparte. Nie wybiegał myślą naprzód, dzień dzisiejszy, zdarzenia aktualne decydowały o jego stosunku do spraw choćby najważniejszych.

Andrzej Zamojski był miły sercu ówczesnej większości szlacheckiej. Nie kazał przecież zmagać się z samym sobą, gdy chwile decyzji nadchodzą. Nie wymagał jakowychś wysiłków nad miarę przeciętności. Mówił to, co miłe łechtało ucho szlacheckie, nie szarpał dusz, boć przecież nie był

1) „Człowiek na ulicy", przeciętny obywatel.

to człowiek, który zdolny był do pójścia pod prąd, choćby przeświadczenie wskazywało mu właściwy kierunek dążeń.

A co najgorsza nie chciał i nie umiał wybrać jednej drogi i kroczyć po niej zdecydowanie. Nie chciał widzieć sytuacji, które zmuszały do wyboru dróg.

Andrzej Zamojski, gdyby patrzał dalej, miał odwagę prawdzie spojrzeć w oczy, wiedziałby, że dążenie do powstania w tamtych czasach było pozbawione sensu, było odruchem, nie mogło liczyć na pozytywny rezultat. Ani wewnętrzne siły ani sytuacja świata nie dawały żadnych szans w zbliżającym się krwawym zmaganiu. Obietnice idące z Francji czy Anglii dla każdego realnego polityka były bez poważniejszej wartości. Gdyby mogła wtedy być mowa o trzeźwości w rachunku bez trudu dopatrzonoby się, iż nie w naszym a innych interesie był rozlew krwi u nas. Zdanie wypowiedziane przez Parlmestona nie budzi chyba żadnych wątpliwości. Musiał Andrzej Zamojski albo niemieć zgoła siły wewnętrznej, lub ulegać tym samym emocjom i tylko emocjom, co społeczność. Miał możność Zamojski walnie przyczynić się do stworzenia podstaw do porozumienia polsko-rosyjskiego. Biali nie stanowili elementu nieprzejednanego, a było ich nie mało. Margrabia był sam, Zamojski miał zaś za sobą dużą i wpływową grupę ludzi.

Biali, którym przewodził Zamojski poszli do powstania, ale nie zdecydowali się na krok, mogący obudzić patriotyzm w szerokich masach ludowych. Skupić je wokół sprawy Polski przestającej być im macochą. Przystąpienie białych do powstania, gdy ono z inicjatywy czerwonych wybuchło, dało w rezultacie stępienie haseł rzucanych w tłum przez czerwonych. I tym razem obrona swych interesów przez szlachtę zadecydowała, że wprowadzane czy obiecywane reformy były połowiczne, nikogo nie zadowalające w danym stopniu bez politycznej wartości.

I tak jak Margrabia popełniał śmiertelny grzech polityczny, ignorując poglądy, bijąc w uczucia, teroryzując i tyranizując ówczesne społeczeństwo, tak Zamojski grzeszył jako przywódca obawą wyjawiania swych poglądów, gdy były inne niż powszechności, niechęcią angażowania się w sprawy niepopularne czy trudne, nie umiejętnością wyrzeczenia się emocjonalności, gdy trzeba wziąć w rękę ołówek i liczyć plusy i minusy takiego lub innego działania, obawą przed walką bezwzględną i konsekwentną, gdy była tego potrzeba.

Tak biegunowo innych przywódców rzadko można spotkać. Nie znaleźli oni niczego, coby ich łączyło, każdy z nich szedł swoją drogą, aż.... zlaczyli się na chwilę, gdy obaj musieli emigrować z Polski jako przegrani — choć z różnych zgoła przyczyn — przywódcy ówczesnej szlachty.

Tragiczne to były czasy: błędy, błędy i jeszcze raz błędy, brak wzajemnego zrozumienia, stosowanie z obu stron — rosyjskiej i polskiej metod, które nieuchronnie prowadziły do wybuchu, choć wybuch ten był beznadziejny dla Polaków, nonsensem politycznym dla Rosji.

Potomność ostro osądzała Margrabiego Wielopolskiego, Andrzej Zamojski nie doczekał się jeszcze wyroku za swe grzechy, wyroku tak ostrego, jak to być winno. Bo szkodnikiem jest nie tylko przywódca, który gwałci, tyranizuje, spotwarza społeczeństwo, ale i taki, który drepcze w miejscu, boi się decyzji, nie umie wpłynąć, by rozsądek panował nad emocjami, nie umie przewodzić, a tylko nadsłuchuje i skwapliwie idzie tam, gdzie czekają go oklaski.

Nierozumne byłoby przeprowadzanie analogii w ocenie ówczesnych i obecnych stosunków polsko-rosyjskich. Byłyby to na ogół płytkie analogie. W stanie faktycznym więcej jest różnic, niż podobieństw. Wówczas były skromne ustępstwa zaborcy, dziś mamy państwo niepodległe. Wówczas marzył się Śląsk i Gdańsk, wczoraj żołnierz polski wrócił ze zdobytego wespół z Czerwoną Armią Berlina na granicę Odry i Nissy. Nie można porównywać poziomu i powszechności kultury politycznej obu narodów. Działają wielkie reformy postępu społecznego. Mamy wspólne doświadczenia furii germańskiej. Związek Radziecki to nie carat. Współpraca narodów słowiańskich jest nie mglistą fantazją, lecz systemem traktatów państwowych. Inny jest układ sił politycznych w Europie. Współpraca polityczna o wiele większa, bardziej konkretne walory przedstawia zarówno dla nas jak dla nich. Znacznie mniej jest przeciwieństw, znacznie więcej interesów zbieżnych. Istnieje wyraźny i wielki cel: Niemcy. Naiwne lub nieuczciwe byłoby więc upodabnianie ówczesnych i obecnych elementów polsko-rosyjskiej przyjaźni politycznej. Nieporównanie więcej elementów pozytywnych jest teraz, niż wówczas. W szczególności *nieporównanie łatwiej jest teraz, niż wówczas, pozyskać naród polski dla rozumowanej racji stanu, opartej o trwałą współpracę polityczną z sąsiadem, o przyjaźń polityczną narodów.*

Nie-małe też są różnice w wewnętrznym naszym układzie stosunków. Niema Margrabiego zawieszonego w próżni.

Za porozumieniem z Rosją są wszystkie istniejące legalnie partie, które bezwątpienia reprezentują większość społeczeństwa. W partiach tych niema przywódców typu Andrzeja Zamojskiego. Obok niemałej wciąż jeszcze liczby ludzi myślących tylko w oparciu o emocje, są liczni, którzy umieją liczyć zimno, opanowywać odruchy, wynikające z tej lub innej przykrości czy krzywdy. Mimo niejednego błędu popełnionego już i dalej powtarzanego przez niektórych z uporem, przecież są zgoła inne możliwości, niż wtedy, ułożenia stosunków polsko-radzieckich na trwałej zasadzie przyjaźni.

ODBUDOWA POLSKI
wymaga zespolenia
całego Narodu

Wśród książek

JAN WIKTOR. — **Ożywcze krynice".** — Książnica-Atlas. Warszawa — Wrocław — Kraków, 1946, str. 92.

Rzecz jest osobono wydanym rozdziałem pamiętnika, napisanego podczas okupacji. Pobudką do napisania owego rozdziału stało się — jak podaje autor — „spotkanie z Janem, znajomym sprzed wojny", oraz drem K.". Jan to — „jeden z najciekawszych ludzi w Polsce, stojący na najwyższym poziomie moralności i ideowości. Czysty i płomienny. Samouk"... Z nim właśnie toczy autor dialog na temat wsi dawnej i wsi obecnej oraz roli pisarzy i literatury w narodzie, a szczególnie w odniesieniu do procesów emancypacyjnych chłopa. „Skorupy błota, zasklepiające duszę, chcę podrzeć, odrzucić, aby sięgnąć w jej głębiny i znaleźć krynicę czystej, nie skażonej mocy polskiej. — Pisarzow: powinno zależeć, aby umiłowane jego dzieło było uprzystępnione tak, jak źródło wytryskujące na rozstajach, nad którym pochyla się uznojony żniwiarz, pije wodę zimną, krzepiącą, a równocześnie widzi bezmiar nieba, odbitego w nieskazitelnej toni, przepojonej blaskiem dnia" (str. 83 i 86) — tak określa autor cel i tytuł publikacji. A więc „ożywczymi krynicami", to najgłębszy nurt duszy chłopskiej, który trzeba umieć odkrywać, i literatura piękna, jeśli jej twórcy rozumieją i wczuwają się w tętno przemian społecznych w narodzie, tak iż dzieło literackie stanowi jedno z dążeniami, troskami i radościami ogółu; drogi mu wytycza, ale równocześnie posiada ten sam obieg krwi, ten sam puls, co naród — jest rezonansem duszy narodowej.

Treścią dialogu są następujące sprawy:

Dokonywuje się wielki przełom — urzeczywistnia się bowiem sen najlepszych w narodzie: Polska staje się narodem chłopów i robotników, staje się Polską Ludową. Rozwój dziejowy wstrzymywany był przez egoizm stanowy możnych, którzy odmawiali chłopu praw, gasili oświatę, jeśli pominąć garść zapaleńców-społeczników spośród szlachty. Ale ci niewiele mogli, a co gorsza — chcieli raczej patronować, niż wyzwalać samodzielność wsi, swobodną i odpowiedzialną jej samoistną twórczość, jak to było za czasów prasłowiańskich kmieciów. Z biegiem wieków sprowadzono ich do poziomu rabów, pozbawiono praw i decyzji, pozostawiono tylko trud i niewolnicze pohańbienie. Poddaństwo i pańszczyzna skaziły duszę wolnego kiedyś kmiecia. Jan z Ludziska, Modrzewski, Kromer, Szymonowicz, Arianie, Staszic — to nieliczni autorowie przestróg i protestów przeciwko bezmyślnemu sprowadzaniu narodu do warstw posiadających i możnych, do spychania w dół ogółu chłopskiego. Ostatnie dziesiątki lat przyniosły wielkie zmiany w dawnym stanie rzeczy. „Już poza nami jest typ chłopa służalczego, uniżonego, w pokorze zginającego grzbiet i czołem bijącego o ziemię przed wolą i samowolą jaśniepańską, już poza nami jest nawet typ chłopa w rodzaju Magrysia, Słomki, nawet Bojki — pionierów, bojowników, budzicieli Ruchu Ludowego starej daty, w których walczyły ze sobą dwie sprzeczne dusze, jedna zrodzona na pańszczyźnianym łanie, pod ugniotem krzywdy, a druga kształtująca się w wyzwolonym człowieku, idącym z miłością do Polski. — Szela nie będzie budował nowej Polski" (str. 14).

Na dzisiaj wskazanie jedno dać można: „Do wielkości dochodzi się przez trud pokoleń. — Wytężyć wszystkie utajone siły i wedrzeć się na właściwą drogę, wiodącą do zamierzonego celu".

Na tle procesów rozwojowych wsi i jej zadań obecnych zarysowuje się rola i znaczenie pisarza ludowego, a więc pisarza zespolonego ściśle z dążeniami wsi. Nie będzie to jedynie malarz piękna wsi, ale wyraziciel jej dynamiki społecznej i politycznej. On dopiero sprawi, że książka znajdzie się powszechnie na wsi — obok bochenka chleba. A tymczasem — literatura nasza skazana jest na opiewanie bohaterstwa w cierpieniu i grobów, na których nikt haseł nowego życia nie będzie wypisywał. Trzeba umieć wczuć się również w rytm pracy pokojowej, trzeba tworzyć i opisywać życie twórcze i zmagania o dzień dzisiejszy, o kształt nowej Polski.

Taki jest mniej więcej tok rozumowania w „Ożywczych krynicach". Podczas czytania nie przeżywamy jakichś nagłych olśnień, nie odkrywają się przed nami nowe i rozległe perspektywy myśli. Na ogół wszystko to już wiemy, bodaj nie od dzisiaj. Wypowiedziom Jana Wiktora trudno nie przyznać racji, choć można mieć pretensję do autora z powodu dłużyzn i niepotrzebnych powtórzeń w tekście. Chwilami też bierze nas ochota wtrącić się do dialogu pomiędzy owym Janem a autorem, zwłaszcza gdy mówią o czytelnictwie na wsi, wciąż zapominając o tym, że zamiłowania czytelnika-chłopa są ni mniej ni więcej, tylko takie same, jak... wszędzie indziej. Można tu mówić o braku nawyku czytania, o braku otrzaskania się z książką, ale nie o szczególnej jakiejś niełasce dla K. Tetmajera, Reymonta, czy Orkana. Długo np. pokutował pogląd, że wieś rozmiłowana jest w baśniach i klechdach. Jakże by mogło być inaczej! Chłop to dorosłe... dziecko. Wreszcie ktoś wnikliwszy stwierdził, że poczytność bajek na wsi polega na większych, a więc łatwiejszych dla niewprawnego czytelnika czcionkach druku w książkach z bajkami — jako wydawnictwami dla dzieci.

Dalej. W „Ożywczych krynicach" dużo miejsca poświęcono klerowi, czy biskupowi Szczepanowskiemu — jako osławionemu przez Długosza „traditorowi"-zdrajcy. Zapewne. Ale co nam to w końcu daje?

Pięknie nazywa Wiktor Bolesława Śmiałego — Bolesławem Samotnym: wolelibyśmy ciekawą powieść na temat tego tragicznego króla-tułacza, niż bezowocne psioczenie na kler. Uświadomiony chłop wywiera duży wpływ, i dodatni, na postawę księży w stosunku do wsi i Ruchu Ludowego. Wydaje się znów, że lepiej dobre ognisko świątowe stworzyć wśród chłopów, niż wciąż wyrzekać na plebanię: to będzie skuteczniejsze.

Ale rozumiemy dobre zamysły autora, jego wiarę w chłopa i odrodzenie Polski przez wieś. „O ż y w c z e k r y n i c e" powinny się znaleźć w rękach oświatowców, działaczy ludowych, literatów i pisarzy czy wreszcie wszystkich zainteresowanych Ruchem Ludowym, lub w nim uczestniczących. Jeżeli w tym czy owym nie będą się zgadzać z autorem, nic w tym złego: książka spowoduje dyskusję, obudzi odwykłą w czasie okupacji myśl od zastanawiania się nad społecznymi i kulturalnymi zagadnieniami, zapali do nowej pracy.

W tym znaczeniu — o cóż więcej może tu chodzić? — „O ż y w c z e k r y n i c e" spełnią swoją rolę, i są wydawnictwem pożądanem

Franciszek Pajdak.

Na przyźbie

POSIEDZENIE KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ.

W dniach 26 i 27 kwietnia odbyło się w Warszawie posiedzenie K. R. N. Bogato udekorowana sala wypełniona była „po brzegi" posłami, których mamy już 444 — oraz jeszcze większą ilością gości. Każdy bowiem poseł ma prawo osobiście wprowadzić jednego gościa — oprócz licznie reprezentowanej prasy, gości partyj politycznych, rządowych, wojskowych i zagranicznych. Goście oprócz balkonów zajmują prawie dwie trzecie sali — i zawsze pomaga ich nadmierną obecność obradującym. Widać, że nasze społeczeństwo z otoczenia posłów wykazuje zainteresowanie obradami, któremu daje na sali obrad znamienny wyraz przez oklaski i okrzyki, co bardzo twórczo działa na posłów.

Tak samo i posłowie — w porównaniu z przedwojennymi posłami — wykazują większe zainteresowanie obradami i widać, że są za nimi stęsknieni, ponieważ posiedzenia plenarne odbywają się nieczęsto.

Obrady cechowała naprawdę prawdziwa jedność i istotne porozumienie międzyklubowe! Ciekawym było przysłuchiwać się i obserwować jednolity oddźwięk całej sali (nieraz ze strony gości za głośny i wyprzedzający posłów) w czasie przemówień różnych posłów spośród pięciu współdziałających i nadzwyczajnie sharmonizowanych partii — za wyjątkiem reagowania w czasie przemówień posłów z PSL.

Miało się złudzenie, że na sali są reprezentowane tylko dwa kierunki polityczne i są obecni posłowie tylko dwuch partii; dwa poselskie kluby, liczebnie niewspółmierne, bo jeden liczący zaledwie 10 procent drugiego.

I dziwne zjawisko psychologiczne: partia reprezentowana przez ten maleńki klubik poselski, siedzący sobie w rożku sali — była główną troską przewijającą się przez wszystkie przemówienia referentów, członków Rządu i głosów dyskusyjnych wszystkich sharmonizowanych posłów. Gdyby tak obliczyć w ciągu tych dwuch dni obrad: czas, nerwy szarpnięte i energię posłów zużytą na tematy związane z PSL — to można by dojść do przekonania, że ten maleńki klubik za bardzo był uhonorowany — kosztem innych spraw państwowych — wysunięty na najistotniejsze miejsce w odbudowującym się życiu naszego kraju.

KRN uchwaliła po raz pierwszy od swego istnienia preliminarz budżetowy Państwa, co było przez całą salę przyjęte z dużym zadowoleniem.

MAJ — MIESIĄC ŚWIĄTECZNY

Miesiąca maja czekaliśmy wszyscy z niecierpliwością nie tylko, że to — jak ludzie mówią: „miesiąc miłości" — ale i miesiąc rocznicy ukończenia jednej z najpotworniejszych wojen, miesiąc obchodów społeczno-politycznych i patriotycznych.

Ludzie ciężko pracujący mają w maju trzy dni dodatkowo wolne od pracy, co wraz z kościelnymi stanowi 8 dni świętowania — jedną czwartą miesiąca! Choć bowiem obecnie praca nie powinna w poczuciu człowieka wyzwolonego spod jarzma kapitalizmu być przekleństwem, tylko radością, to jednak kto z nas sam osobiście zaznał trudu ciężkiej pracy — wie, że odpoczynek od takiej „radości" jest bardzo upragniony.

Piękna pogoda — majowe słońce, przyczyniły się do tłumniejszego udziału uczestników w obchodach.

W pochodach pierwszomajowych masy robotnicze wykazały bardzo dużą organizacyjną sprawność i zdyscyplinowanie, które było widoczne w karnym stawieniu się grupowym z miejsc pracy na obchody i w przebiegu samych uroczystości jak: zwarte maszerowanie, skandowanie prawie wszystkich okrzyków itp. Nowością powojenną pochodów robotniczych, pierwszomajowych, było niesienie różnych kukieł, jako plastycznych wyobrażeń przedmiotów różnych „preczów" okrzykowych. Zastosowanie tych sztuczek przez organizatorów manifestacyj robotniczych wywołało tylko wiele poczucia niesmaku.

W obchodach 3-go Maja mieliśmy oficjalne nabożeństwo z udziałem władz, a potem różne lokalne uroczystości — tu i ówdzie łączone z postacią Naczelnika Kościuszki. Niepotrzebnie tylko szerzyło się nastroje, jakoby Święto 3-go Maja miało być mile widziane przez czynniki reakcyjne, które przecież z istotą i treścią historyczną 3-go Maja i Kościuszki nie miały nic wspólnego.

Oprócz tradycyjnych treści tych dwuch świąt w tym roku była jeszcze dodana nowa intencja — mianowicie dnie 1, 2 i 3 maja wyznaczone zostały jako doroczne Święto Oświaty, które powinno się stać bliskie masom ludowym.

W dniach 8 i 9 święciliśmy rocznicę zakończenia wojny — zwycięstwa ludzkości nad bestialstwem! Zrozumiałe, że w dniach tych uczucia nasze skupiały się przede

wszystkim wokół bohaterów naszych — żołnierzy. Przypominaliśmy sobie miejsca bitew zwycięskich, miejsca klęsk naszych i cierpień przebytych. Obok żołnierza w mundurze polskim — nam zwłaszcza, ludziom z byłej walki podziemnej — jawił się przed oczyma wyobraźni i ten nie umundurowany, szary, z pseudonimem zamiast własnego imienia — żołnierz podziemny, nie mniej ofiarnie, bohatersko i mężnie walczący o Polskę, najczęściej samotnie i nieraz w dużo trudniejszych i cięższych warunkach, niż jego szczęśliwszy umundurowany towarzysz broni — zawsze mogący się jawnie bronić i walczyć, ochraniany międzynarodowymi prawami wojennymi, opieką sanitarną i czujnym okiem dowódców.

Szkoda, że w oficjalnych obchodach Święta Zwycięstwa zapomniano o wkładzie b. żołnierzy podziemnych, a ziemia z ich pobojowisk nie została symbolicznie umieszczona w stolicy Państwa przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Słusznie dzień rocznicy zakończenia wojny został uznany za dzień Święta Żołnierza. Ciesząc się jednak w tym dniu wraz z naszymi żołnierzami z ich zwycięstw i bohaerstwa, otaczając ich serdeczniejszą niż co dzień przyjaźnią — nie możemy zapomnieć o tych żołnierzach, którym nie danym było doczekać tego Święta, o mogiłach tak polskich jak i rosyjskich żołnierzy, którzy śnią wieczny sen żołnierski na wszystkich rozdrożach naszej ziemi — polegli w walce o naszą wolność. Wędrówka do ich mogił z kwiatami, wieńcami, żywym ogniem i serdeczną głęboką zadumą powinna być jednym z momentów uroczystościowych i obowiązków naszych w dniu tego Żołnierskiego Święta.

Sama w sobie rocznica zakończenia wojny — zmusiła nas również do spojrzenia wstecz — na ten pierwszy rok po sześciu latach grozy wojennej, przeżyty bez huku strzałów, bomb lotniczych i łun wojennych pożarów.

W ciągu tego roku wiele już uporządkowaliśmy w naszym szerszym Gazdostwie, jakim jest dla nas Polska, sporo odbudowaliśmy, ale stać by nas było na zrobienie więcej.

W nowoczesnym tempie dzisiejszego życia rok czasu to wielki okres na ustabilizowanie, skończenie z tymczasowością. Nie można rozgrzeszać się, że po tamtej wojnie tempo stabilizacyj było również powolne, bo to było ćwierć wieku temu!

PALMIRY — POLANA MĘCZEŃSTWA — ŚMIERĆ MARSZAŁKA RATAJA

W ostatnich dniach odbiła się echem po wszystkich wsiach i miastach posępna nowina: oto w Palmirach odnaleziono zwłoki Marszałka Macieja Rataja — przywódcy chłopów z okresu najcięższej walki Ruchu Ludowego z reżimem sanacyjnym.

Dotychczasowe przypuszczenia, oparte na różnych obserwacjach świadków wywożenia Marszałka z więzienia warszawskiego, tzw. „Pawiaka", okazały się — niestety — tragiczną prawdą.

Na podstawie wspomnień oraz układu i wyglądu odnalezionych zwłok można by w ten sposób odtworzyć przebieg tych strasznych chwil.

Pogodny i jakże przejasny był ranek 21 czerwca 1940 roku. Słońce — jakby celowo chciało oświetlić i wyrazistym uczynić każdy szczegół ostatniego widoku przed oczyma nieszczęsnych 400-tu męczenników, przywiezionych ciężarowymi autami i ustawionych przed olbrzymimi rowami, na 2½ metra głębokości wykopanymi na polanie palmirskiego lasku. Promienie słoneczne jakby chciały prześwietlić i przebić czarne opaski zasłaniające oczy skazańców. Wśród nich wyróżniała się swą wyniosłością i dziwnym autorytetem — wysoka, szczupła postać Marszałka Rataja, ubranego jak do drogi: w ciemne ubranie, w swój znany płaszcz jasny, z laską i plecakiem w ręku. Siwa broda, która Mu wyrosła w więzieniu, lśniła się w promieniach, bujną ciemną czuprynę przygładził w górę, zdjął okulary z oczu i patrzał, patrzał się wprost w słońce. Nie pozwolił sobie zawiązać oczu. Nie lęka się śmierci. Cierpi nie nad sobą, ale nad ujarzmioną Polską, nad tym, że już więcej życiem swym pomóc Jej nie może — cierpi nad tą wielką gromadą zgnębionych, pochylonych i jakby momentalnie o dziesiątki lat postarzałych swych współtowarzyszy kaźni czekających na rozpoczęcie salwy ustawionych karabinów maszynowych.

Salwa! Ludzie jak podcięte drzewa padają z łoskotem w głębie rowów. Jedni w momencie konania, inni jeszcze żywi, ranni nawet nie śmiertelnie... Pada i Marszałek! Za chwilę przygniata Go warstwa nowych zwłok — to następny szereg ustawionych nad dołami męczenników. Padają trupy niezastygłe — wykrzywione w skurczu konania, padają ranni/... Wysunięte u wielu języki z ust świadczą, że skonali dopiero w dole z uduszenia.!

Przywalono ich 2½ metrowo grubą warstwą piachu sypkiego, żółciótenkiego. Zrównano, ubito, a na nasypanej nawierzchni czarnej ziemi posadzono maleńkie sosenki. Tylko gajowym — Żołnierzom podziemnym — udało się oznaczyć w tajemniczy sposób miejsca zamaskowanych mogił, w których leżeli nie tylko współtowarzysze śmierci Marszałka Rataja, ale i wielu, wielu innych, w różnym czasie tam mordowanych od 1939 do 1941 roku.

Przeważają mieszkańcy Warszawy. Z różnych obozów politycznych i różnych warstw społecznych: mężczyźni i kobiety, starzy i zupełnie młodzi. Kilku księży, kilku wojskowych — są również i żydzi. Obliczają, że leży na tej tragicznej Polanie Męczeństwa parę tysięcy pomordowanych. Z naszych bliskich oprócz Marszałka przypuszczalnie zginęli tam: Solarz, Cierniak, i Lerch.

Ubiegłej jesieni spośród okolicznego społeczeństwa zorganizował się z udziałem miejscowego księdza Komitet Uczczenia Pomordowanych w Palmirach. Komitet ten zebrawszy trochę pieniędzy z ofiar publicznych przystąpił do ekshumacji rozrzuconych bezładnie mogił, aby zidentyfikować o ile możliwe zwłoki i pochować je na odpowiednio urządzonym miejscu - cmentarzu.

Cmentarz ten — podług projektów Komitetu — powinien stać się czymś w rodzaju Mauzoleum Narodowego, miejscem pielgrzymek Narodu do tych, którzy bezbronni — pierwsi tak masowo byli pomordowani — tuż pod stolicą ujarzmionego Państwa, dla steroryzowania właśnie pełnej buntu wewnętrznego ludności Warszawy. Wśród tych bowiem, co konali na Palmirskiej Polanie Męczeństwa — są, jak Marszalek Rataj i Niedziełkowski, twórcy i pierwsi przywódcy walki podziemnej w Warszawie, oraz wielu spośród czynnych żołnierzy Polski Podziemnej. A ci nawet, którzy żyjąc nie

należeli jeszcze do organizacyj niepodległościowych, i tylko z przypadku dostali się w ręce oprawców niemieckich — również męczeńską swą śmiercią przyczynili się walnie do rozwoju ruchu podziemnego w Polsce, do wytworzenia atmosfery dla walki, i takiej, jaka była, a nie innej postawy Narodu wobec najeźdźcy.

Możnaby określić, że walczyli podziemnie nawet po śmierci, bo wrażenie, pamięć o ich morderstwie zbiorowym było natchnieniem i siłą Narodu do bohaterstwa, ofiar i nieustępliwości.

Można by określić, że walczyli podziemnie nawet po ście patrzyło w ich konające oczy — jakąś tajemną siłę przenosiło w promieniach swych, wzmacniając w nas zarzewie buntu i determinacji.

I dlatego pomysł urządzenia Cmentarza — Pomnika, jest godny, celowy i patriotycznie podniosły. Właśnie te Ich mogiły, te najpiersze zbiorowe — przede wszystkim powinny być przez Naród czczone. Właśnie tam w palmirskim słońcu, w szumie lasu, w którym roznosiły się ich przedśmiertne na cześć Polski okrzyki, śpiew „**Jeszcze nie zginęła**" — ostatnie tchnienie konania, a każda przygarść piasku przesiąknięta jest ich krwią — tam mamy my i pokolenia następne czerpać siłę do ofiarności i bezinteresowności w służbie dla Polski — tam prowadzić będziemy dzieci nasze, by uczyły się bohaterstwa i dzielności nawet w obliczu śmierci, by uczyły się kochać Polskę całą duszą.

Jednocześnie Cmentarz ten będzie po wsze czasy świadectwem barbarzyństwa niemieckiego oraz niezmiennym sygnałem alarmowym do nieufności naszej wobec Niemców i gotowości obrony.

To wszystko prawda — słuszne — wzniosłe — patriotyczne i piękne.

Ale oto jak się przedstawia rzeczywistość dzisiejsza, jak się przedstawia realizowanie tych projektów: Komitet miejscowy prowadzi dotychczas pracę bez grosza subsydiów państwowych, bez pomocy ze strony organizacyj politycznych (z wyjątkiem PSL) i społecznych. Jedynie PCK przydzieliło trzy protokulantki, które tam od początku pracują z nieprawdopodobnym oddaniem się tej sprawie, dokonują z iście macierzyńską pieczołowitością identyfikacji zwłok przez 8 godzin codziennie, a przez drugie 8 godzin sporządzają i przepisują protokuły — i choć to praca terenowa — nie otrzymują nawet dodatkowych diet, tylko zwykłe biurowe uposażenie. Robotnicy otrzymują po 200 zł dziennie bez żadnych przydziałów.

Rozkopano już wiele grobów, ekshumowano setki zwłok, z których wiele zidentyfikowano. Pochowano je w nowowykopanych zbiorowych mogiłach — bez trumien, bodaj najprostszych. Do ekshumacji jest jeszcze 14 wielkich mogił z paru tysiącami zwłok. Nie wykończone jest jeszcze usypanie nowych mogił, nie zasypano ziemią miejsca po starych, nie mówiąc już o upiększeniu, posadzeniu kwiatów i krzewów ozdobnych, wystawieniu odwiednich pomników, krzyżów, ogrodzenia.

By to wszystko wykonać, aby istotnie opuszczone i posępne uczucie budzące miejsce kaźni na Palmirskiej Polanie Męczeństwa stało się nie tylko z treści, ale i w zewnętrznej swej formie Pomnikiem, potrzeba jeszcze wiele wiele rąk roboczych, potrzeba odpowiednich funduszów. Jak dotychczas — bądźmy szczerzy — społeczeństwo nasze nie wykazuje odpowiedniego zainteresowania tą sprawą.

A przecież cały kraj — ze stolicą Warszawą na czele nie może dać się wyprzedzić garstce okolicznej, ubogiej chłopskiej ludności, która tyle inicjatyw, prac i serca wkłada w to, aby godnie uczcić Pomordowanych, i — jak dotychczas — wyłącznie na swoje barki wzięła cały ogrom rozpoczętego przedsięwzięcia.

M. Szczawińska.

OD REDAKCJI I ADMINISTRACJI.

Redakcja „Chłopskiego Świata" zwraca się do wszystkich ludowców z prośbą o nadsyłanie zdjęć fotograficznych, ilustrujących różne prace i obrzędy ludowe, tak z czasów przedwojennych, jak konspiracyjnych i obecnych, a więc: świąt żniwnych, świąt ludowych, prac B. Ch., święcenia sztandarów itp. Zależy nam również na otrzymaniu fotografij naszych bohaterów chłopskich, poległych w walce o Polskę. Zdjęcia po wykorzystaniu w piśmie, nie zniszczone zwrócimy właścicielom, tak, że można użyczyć Redakcji nawet najbardziej pamiątkowych zdjęć.

Wszyscy piszący ludowcy proszeni są o współpracę z Redakcją przez nadsyłanie artykułów, odpowiadających charakterowi pisma, względnie uwag czy tematów, omówienie których chcieliby znaleźć w „Chłopskim Świecie".

Jednocześnie zawiadamiamy, że *obniżona została cena prenumeraty „Chłopskiego Świata" na 150 zł. rocznie.* Pojedyńczy numer na 15 zł.

Prenumeratorzy, którzy wpłacili prenumeratę pg. dawniejszej stawki, będą mieli zaliczoną nadwyżkę na dalszy okres.

Dotychczasowych Prenumeratorów i Czytelników prosimy o wpłacanie prenumeraty.

Redaktor JÓZEF NIECKO

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 85.

Prenumerata: kwartalnie 40 zł, półrocznie 75 zł, rocznie 150 zł. Nr pojedynczy 15 zł.

Wydawca: Wydział Informacji i Propagandy P.S.L. Druk. PSL Nr 2, Warszawa, ul. Chmielna 25. B-07980

Biblioteka Ruchu Ludowego

Wyszły z druku:

Nr 1.	Program i Statut P.S.L.	30 zł
„ 2.	Jedność Ruchu Ludowego — *T. Rek*	20 „
„ 3.	Lata chłopskiej walki — *Z. Augustyński* . . .	30 „
„ 4.	Samorząd terytorialny — *P. Typiak* . . .	20 „
„ 5.	W służbie narodu i państwa — *St. Mikołajczyk* .	30 „

W druku i przygotowaniu:

50 lat pracy i walki — *J. Dec*
Dlaczego jestem ludowcem — *Fr. Mleczko*
W. Witos na tle epoki — *Dr. W. Kiernik*
Własność drobna i średnia — *S. Szymański*
Pieśni Batalionów Chłopskich — w opr. *W. Batki*
Pamiętnik Kongresu P.S.L. w r. 1946

Prasa P. S. L.

1. CHŁOPSKI SZTANDAR — tygodnik — organ naczelny
2. GAZETA LUDOWA — dziennik
3. CHŁOPSKI ŚWIAT — mies. światopoglądowo-ideologiczny

Do nabycia:

Żywia i Głos Matki — jednodniówki Wydz. Kob. P.S.L. po	15 zł
Przebudowa — jednodniówka o charakterze społeczno-gospodarczym	15 „
Kalendarz Ludowca na r. 1946	50 „

Zamówienia na wydawnictwa należy kierować:

do Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej —
Warszawa, ul. Al. Jerozolimskie 85.

lub do Oddziału Gazety Ludowej —
Łódź, Al. Kościuszki 27.